Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

CENA 60 GR.

Nr. 13 GRUDZIEŃ 1934 r. Rok X

MŁODA MYŚL LUDOWA

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY SPRAWOM RUCHU LUDOWEGO

REDAKCJA, ADMINISTRACJA: WARSZAWA, FILTROWA 65a. TELEFON 8.93-50. KONTO P. K. O. 8.636

M. MALINOWSKI

STARY SPÓŁDZIELCA—MŁODYM

Czy mam prawo nazywać się spółdzielcą, spółdzielcą starym?

Kiedy po roku 1905 wrócił z przymusowej emigracji w Anglji, kraju spółdzielczości, p. Stanisław Wojciechowski z zamiarem rozpoczęcia w kraju swojej tak pożytecznej pracy spółdzielczej, zwrócił się do mnie po informacje, dotyczące sfery działania lub powstawania spółdzielczości na terenie b. Kongresówki. A kiedy znacznie później, bo w roku 1927 obchodziliśmy 20-lecie założenia i pracy „Zarania", Związek Spółdzielni „Społem" przysłał mi swoje uznanie i życzenia, jako właśnie w swoim czasie budzicielowi idei i ruchu spółdzielczego wśród ludu rolnego wsi polskiej.

Jako więc „stary spółdzielca" dziś wyrażam swe uznanie i zadowolenie ze szczerego postawienia sprawy przez „młodego spółdzielcę" — Leona Lutyka w „Młodej Myśli Ludowej" (Nr. 11 — 12). Takich głosów więcej dziś trzeba, żeby właśnie „drogą oddolną", odbudować co odgórnie, niewątpliwie dla celów szczególnej polityki etatystycznej, jest dziś prze-

ważnie w wolnym rozwoju, a bodajże i w bycie zagrożonem. Spółdzielczość bez samodzielnie działającego ideowego podłoża nie rozwinie się.

Propagandą idei spółdzielczości wśród czytelników wiejskich zajęci byliśmy dawno. Były to lata 1891 — 1895 i następne. Nauczycielem i dającym dla nas, w Kongresówce ideowe w stosunku do ludu nastawienie spółdzielcze były mi wtedy praca w tym względzie Czechosłowacji a nadewszystko książka Fr. Stefczyka (nie pamiętam jej tytułu), nauczyciela w szkole rolniczej w Czernichowie, rozumnie i przekonywująco wykładająca sprawę. Pamiętam, że chłopi, czytelnicy, w owym czasie przezemnie redagowanej „Zorzy", głęboko zastanawiali się nad ważnością tej nowej dla nich idei. W r. 1898, gdy się okazała możność, pierwszą kasę pożyczkowo-oszczędnościową założono we wsi Siennicy Różanej pod Krasnym Stawem (chłopi ją założyli). A po roku 1906 zaczął się nowy ruch pracy spółdzielczej, gdy właśnie pomiędzy budzący się wtedy ruch ludowy rzucone zostało hasło „sami sobie". W latach 1908 i 1909 zaczęły po wsiach b. Kongresówki samorzutnie powstawać spółdzielnie mleczarskie. W samym powiecie grójeckim powstało ich dziewięć, a dalej pod Kockiem w Kacicach i w różnych stronach kraju — coraz więcej. To hasło „sami sobie" pędziło ludzi do pracy, do działania ku pożytkowi ogólnemu własnym wysiłkiem, własną zabiegliwością, własną wolą i ochotą, nawet zapałem.

Dla nas, działaczów ruchu ludowego była wówczas czemś radosnem ta ochota chłopskiej wsi w stwarzaniu sobie własnej społecznej mocy gospodarczej — **sami sobie!** Zdawało się nam, że najbardziej to odpowiadało idei „roczdelskich pionierów", albo owych chłopów niemieckich, którzy pod przewodem Reiffeisena ratowali sie od klęsk nieurodzaju i pomoru własnym swoim czynem i wysiłkiem zbiorowym.

Mieliśmy też wówczas — my, działacze ruchu ludowego, to głębokie przeświadczenie, że i na drodze spółdzielczości lud polski będzie szedł ku niepodległości narodowej; każdy odcinek pracy zbiorowej prowadzonej pod hasłem „sami sobie" bedzie zbliżał do tego, że będziemy „sami sobie!.. Tak się wtedy mówiło i to lud zachęcało, nawet porywało.

Ale nad samodzielnościa ruchu spółdzielczego, jak każdego „ruchu ludowego" prawie wszędzie, ale zwłaszcza w Polsce, zawsze zawisa jakaś zmora. Pamiętam tych (bo niektórzy żyją i są spółdzielcami), którzy w roku 1909 biegali od jednej do drugiej, samorzutnie przez chłopów prowadzonej spółdzielni mleczarskiej w pow. grójeckim i w imię jakiejś „jedności" ze sobą rozbijali owe spółdzielnie; gospodarzy i gospodynie odwodzili od nich. Jakiś niepojęty dla mnie strach przejął tych ludzi, że oto lud bez nich „sam sobie", własną ochotą i samodzielną pracą stwarzał nowe życie społeczne wsi polskiej. Dopatrywali się w tej pracy jakiejś niby złowrogo burzycielskiej dla siebie polityki, gdy ona była tylko najzdrowszem, bo samodzielnem uspołecznianiem się wsi.

W roku 1909, czy 1910, gdy pod egidą Kółek Rolniczych im. Staszica odbywał się zjazd członków samodzielnych chłopskich (bo większa własność pod przewodnictwem ś. p. Dobrskiego uznała w Lublinie, że rolnictwa drobnego nie należy organizować dla przerobu mleka) spółdzielni mleczarskich, to musieliśmy ograniczyć wstęp na salę pewnym urzędowym spółdzielcom, by nie gasili zapału chłopów do samorzutnej roboty spółdzielczej... Ten samodzielny ruch spółdzielczo-rolniczy wsi polskiej przetrwał

aż do wybuchu wojny światowej i byłby się niewątpliwie rozwinął, bo hasło „sami sobie" zachęcało do tego, a rozumnie prowadzona organizacja dawała wiele niezaprzeczalnych z tego dla drobnego rolnictwa korzyści.

To był jedyny, wyjątkowo pomyślny moment w życiu przedwojennej polskiej wsi twórczego ruchu spółdzielczego. Był to moment największego również rozwoju postępu rolniczego wsi — wszystko z pobudki hasła „sami sobie".

Po wojnie ruch spółdzielczy to wzrastał — to przygasał, ale najmniej było tych, którzyby: po 1-sze sam lud utrzymywali w potrzebie samodzielnej twórczej w tym względzie żywotności, a po drugie: którzyby rozwijali niezbędną jego umiejętność i wychowanie spółdzielcze. Niebawem zresztą, zwłaszcza po roku 1926, zjawia się w pracy spółdzielczej mniej ideowców, a więcej „fachowców", odgórnie kierowanych i odgórnie też działających, częstokroć spekulacyjnie i istotnie „bez żadnej iskierki ideowej", ale zato w politycznem przez się nastawianiu ludności szukających swojej karjery osobistej. W ten sposób odgórnie wchodziły do roboty spółdzielczej wsi niekiedy męty i szumowiny ludzkie, co lud zniechęcało nawet do samej idei.

A wreszcie dziś jesteśmy świadkami ujmowania spółdzielczości polskiej w szczególne kleszcze etatyzacji, a zatem kierownictwa odgórnego, zabijającego to właśnie, co jest rzeczą w spółdzielczości najważniejszą: ideę pracy wszystkich dla wszystkich, ideę wymagającą zapału, umiłowania i osobistej nawet ofiary dla sprawy — ofiary z przekonania, że się buduje przyszłość swoją i swoich.

Spółdzielczość wsi nie chce i nie potrzebuje uwzględniać interesów miast, przemysłu, a tembardziej politycznych zamierzeń odległej od ludu i spraw jego partji. Spółdzielczość rolnicza musi uwzględniać interesy rolnictwa i to nietylko gospodarcze, ale i interesy wszystkich dążeń i pragnień ludu; musi więc odpowiadać temu, co się objawia w „ruchu ludowym" i — przez należyty we wszystkich tych dziedzinach rozwój — przyczyniać się ku dobru ogólnemu, a zatem i miast, i przemysłu, byle nie obcej, wrogiej sobie polityce. Jakże może być inaczej?

Chłopska spółdzielczość Danji i Czechosłowacji była zgodna z „ruchem ludowym" tamtejszej wsi i dziś jest zgodna z dzisiejszemi potrzebami i pragnieniami wsi. Duński chłopski „Landboernes Sammeuslunting" (Związek Zawodowy Rolników) założony już czasu obecnego kryzysu, spowodował u władz ustawodawczych i wykonawczych swego państwa różne zarządzenia i ustawy, które osłabiły skutki kryzysu, albo je nawet usuwały. Ruch ludowy w Danji, zwłaszcza w latach 80-tych i 90-tych przyczynił się nietylko do odrodzenia samej Danji, ale także i zmian w tym kierunku u innych narodów. Powieść pisarza duńskiego, osnuta na tle ruchu ludowego wsi tamtejszej, otrzymała przed kilku laty nagrodę Nobla nie tyle za artyzm powieści, ile za treść, której osnową jest właśnie idea, tkwiąca w „ruchu ludowym" ludu rolnego Danji. Bo ruch ludowy prowadzi do odrodzenia narodu; boją się go tylko, jak nazwał Mickiewicz, ludzie „starej epoki". I ruchu spółdzielczego, płynącego zazwyczaj jak było w Danji, w Czechosłowacji, a czasu „Zarania" i w B. Kongresówce, jednym korytem z ruchem ludowym, boją się lub pragną go w „odgórnie" nadawanemi przez się nastawieniami przez swoich „fachowców" sprowadzić do „fachowości". Uwagę tę zaś — rzecz osobliwa — u nas zwłaszcza,

musimy stosować przedewszystkiem do spółdzielczości rolniczej, a zatem wśród szerokich mas ludu rolnego. „Pan się boją we wsi „ruchu".

Tendencje takie widzieliśmy około r. 1909, gdy chłopi samorzutnie i z zapałem „sami sobie" zakładali spółdzielnie mleczarskie i te same, dziś z innych nieco politycznych pobudek, mają tendencje dzisiejsze zarządzenia i ustawodawstwo sanacyjne; prowadzi ono ku opanowaniu przez się spółdzielczości, przez jednoczenie jej pod swojemi rozkazami i pod lustratorskiem okiem przez się mianowanych, a więc od siebie zależnych ludzi.

W interesie Narodu i Państwa, pracy, jak i ruchowi spółdzielczemu ludu rolnego, winien przyświecać, winien je ogrzewać i natchnieniem swojem nietylko pobudzać, ale i prowadzić „ruch ludowy": wiara, zapał, wysiłek ideowy, ideowa wytrwałość z poczuciem pełnej odpowiedzialności. W obroży odgórnych nastawień i nakazów wartości te żyć i obracać się nie potrafią. Osobiście przekonywałem się wielokrotnie, że lud rolny lubi pracę spółdzielczą i chętnie się jej poświęca. Ale też w ostatni dziesiątek lat widziałem, jak „odgórnie" nasyłani ludzie - karjerowicze zniechęcali lud do spółdzielczości. Większość likwidacji spółdzielni rolniczych i strat chłopskich spółdzielców tym panom w wielkim stopniu przypisać należy.

Czynnik ideowy w spółdzielczości tem większego znaczenia nabiera w ten przełomowy czas, który przeżywamy, a który tembardziej wymaga od społeczeństwa wszystkich wymienionych wyżej czynników moralnych i psychicznych, jako niewymownie ważnych w chwilach, gdy samemu rolnictwu drobnemu wypadnie może wykuwać nowe formy działania, życia i pracy, gdy rola spółdzielczości wobec zachodzących przemian społeczno-gospodarczych być może o wiele ważniejszą nawet, niż była dotąd...

Tu właśnie dla „młodych spółdzielców" otwiera się szerokie pole działania, szerokie horyzonty dla ich zbiorowej myśli twórczej, szerokie wreszcie pole do dyskusji rzeczowych, wiążących się z momentami i objawami zachodzących przełomów i zmian w spółdzielczości, w agraryźmie wogóle, począwszy od spółdzielczej organizacji gospodarstw rolnych, a kończąc na społecznem nastawieniu planowej produkcji, zbytu i ogólnej gospodarki z uwzględnieniem charakteru i potrzeb regjonalnych. Spółdzielcze organizowanie ogólnego życia, a nawet spółdzielcze wychowywanie człowieka już się u nas potrosze zaczyna. Chłopi duńscy na drodze tej osiągnęli taki rozwój, że go doniedawna zazdrościły najbardziej rozwinięte i kulturalne narody; zniszczona i zmarnowana przez Prusy w r. 1864 Danja odrodziła się i moc odzyskała dzięki „ruchowi ludowemu" swoich chłopów, ruchowi stworzonemu przez „uniwersytety chłopskie" — ruchowi zatem, idącemu ręka w rękę z ruchem spółdzielczym.

O tak! samodzielny „ruch ludowy" wsi, **nie wyrzeknie się spółdzielczości przez siebie prowadzonej.** Młoda wieś ludowa ma w tym względzie do spełnienia wielkie, o wysokich wartościach narodowych i państwowych posłannictwo. Niech idzie, kędy jej droga! Niech tak idzie w przyszłość, oparta o swoje uniwersytety, o wiedzę ogólną, o głęboko tkwiący w duszach jej zmysł gospodarczego budowania przyszłości.

STANISŁAW MIŁKOWSKI

NA SZLAKACH WALKI O SAMODZIELNĄ MYŚL CHŁOPSKĄ

Dziewicze tereny samodzielnej myśli chłopskiej nie są łatwe do przebycia. Dotychczas poza warstwą chłopską tworzyły się teorje ustrojowe, systemy filozoficzne i całe światopoglądy. Zazębiały się one o chłopa, fragmentami swojemi porywały go w wir walki, traktując go jako glinę, z której można lepić dowolne figurki. A on stał i rozglądał się niezdecydowanie, którą drogą ma iść do swojego celu i przeznaczenia. Podsuwana mu strawa, a właściwie odpadki z obcych stołów, nie smakowały mu...

Ciężkie koleje losu przechodziła warstwa chłopska. Rzeczy wiadome — i zbyteczne byłoby fakty te tutaj powtarzać. Po długich wiekach niewoli w ostatnich dziesiątkach lat zaczął chłop dopiero myśleć o wydźwignięciu się z dna nędzy materjalnej i otchłani ciemnoty. Zaczął to robić bardzo prymitywnemi środkami, stopniowo je doskonaląc i zamieniając na bardziej nowoczesne. Sprawnie mu to nie szło ale mimo to posuwał się naprzód. Celów dalekich nie miał. Chodziło mu o to, aby mógł doraźnie poprawić swój byt, aby mu pozwolono dźwigać się wyżej, organizować i upodabniać się do drugich.

Nie spostrzegł się nawet — kiedy nad jego głową zerwała się burza, kiedy rozpętała się batalja między dwoma obozami, walczącemi ze sobą najbardziej wydoskonaloną bronią. Wybuchła wojna o rzeczy wielkie, bo o formę i treść przyszłego świata. W walce tej po jednej stronie stoi stary zdegenerowany bankrut — ale zato chytry, uzbrojony w doświadczenie, a przedewszystkiem z pełną kiesą — **kapitalizm.** — Po drugiej zaś stronie stoją w szyku bojowym i atakują go różne kierunki socjalistyczne, — a więc ludzie i kierunki z bruku miejskiego, z fabryk, kopalni, banków... Bojują rzecz prosta przedewszystkiem o swoje własne interesy, o urzeczywistnienie swoich własnych światopoglądów. Warstwa chłopska, stojąca trochę z boku i prawie że neutralna — owszem przez jednych i drugich w swoich kombinacjach myślowych i planach jest brana pod uwagę, ale zarówno u jednych, jak i drugich, ma być czemś drugorzędnem, terenem eksploatacyjnym, pognojem... Tak jest w tej chwili w ustroju kapitalistycznym — wcale nie lepiej ale dziesięćkroć gorzej w Rosji Sowieckiej, w państwie, gdzie proletarjat poraz pierwszy buduje ustrój sprawiedliwości społecznej.

Powie może ktoś, że w Rosji Sowieckiej maltretowanie warstwy chłopskiej da się moralnie usprawiedliwić, bo dokonuje się ono w imię wielkich ideałów. Owszem, mieliśmy już takie momenty w historji..., kiedy mordowano i palono na stosie także w imię wielkich ideałów... Była to Święta Inkwizycja... Pewne podobieństwo tam i tu jest: wspólny moment psychologiczny, mający swe źródło w nieopanowanym fanatyzmie, w wierze o bezwzględnej słuszności i prawdziwości wyznawanych przez siebie ideałów.

Ale Kościół Katolicki zapewne wolałby dzisiaj, aby w swojej historji nie miał Świętej Inkwizycji...

Warstwa chłopska w obecnym momencie dziejowym znalazła się siłą procesów historycznych — na rozdrożu. Znalazłszy się w pośrodku dwu walczących obozów — wrazie zwycięstwa któregokolwiek z nich zgóry musi się przygotować do pójścia na służbę do zwycięzcy. — Podobne refleksje można snuć długo i szeroko, pogłębiać je i uwypuklać.

Wiele czynników złożyło się na to, że ruch młodo-ludowy sprawę samodzielności wsi na wszystkich odcinkach postawił twardo i zdecydowanie, podniósłszy bunt przeciwko patronowaniu wsi w jakiejkolwiek formie.

W pierwszym momencie wyraziło się to głównie w metodach działania... **ale nieuniknioną konsekwencją wejścia na tę drogę było stopniowe uświadamianie sobie tej niewzruszonej prawdy, iż idący ruch chłopski musi także wytworzyć samodzielną myśl chłopską, swój chłopski światopogląd.** Chodzi o to, aby z punktu widzenia warstwy chłopskiej móc oświetlać wszystkie aktualne zagadnienia, wskazywać kierunek rozwiązania spraw społeczno-gospodarczych, politycznych, ustrojowych i t. p. **Ofenzywa myślowa winna wyprzedzać wszystkie poczynania wsi.** Jest to szczególnie uzasadnione w warunkach polskich, gdzie budowa państwa, po dłuższych lub krótszych wstępnych wahaniach, musi się z konieczności oprzeć o warstwę chłopską. Ale ten proces historyczny może się dokonać tylko w ramach określonej ideologji, przez wieś wytworzonej. Zagadnienie formułowania i krystalizowania tej ideologji wysuwa się przeto dzisiaj bezapelacyjnie na pierwsze miejsce. Praca niełatwa, bo trzeba w pierwszym rzędzie odizolować rodzącą się myśl chłopską od innych ideologij, wyrąbać dla niej samodzielne stanowisko, wyszukać punkty styczne z innemi pokrewnemi kierunkami i t. p.

Takie oto myśli poczęły fragmentami dojrzewać w samodzielnym ruchu młodzieży wiejskiej, ujawnione w słowie pisanem lub też w gorących dyskusjach na kursach związkowych, względnie w poszczególnych środowiskach Polskiej Akad. Młodz. Lud. Jako czynny członek ruchu młodzieży wiejskiej miałem możność uczestniczenia w podobnych dyskusjach, śledzenia ich kierunku, a następnie wiązania wyrażonych poglądów ze swojemi własnemi przemyśleniami w pewną określoną całość.

W takiej atmosferze i pod wpływem takich pobudek napisałem swoją książkę p. t. **„Agraryzm jako forma przebudowy ustroju społecznego".** Temat wypracowania wielokrotnie był przedmiotem dyskusji w różnych środowiskach ruchu młodzieżowego przed ujęciem go w formę książkową. W ten sposób myśli, w mej książce wyrażone, przestają mieć charakter indywidualnych poglądów, a w dużym stopniu ujawniają treść dążeń ruchu młodzieży wiejskiej.

Jak każda myśl nowa i żywa ma swoich zwolenników i przeciwników tak oczywiście musiało być i z moim „Agraryzmem". Z natury rzeczy chcę mówić o przeciwnikach, których można podzielić na trzy grupy: opozycję prawicową, nijaką i lewicową.

Opozycja prawicowa do otwartej walki nie wystąpiła, ograniczając się głównie do walki podjazdowej. Jedynem silniejszem uderzeniem przed ukazaniem się jeszcze książki w moje koncepcje ustrojowe z obozu opozycji prawicowej nastąpiło ze strony p. Orkacza - Zaleskiego na łamach Młodej Myśli Ludowej, który zamiast rzeczowej dyskusji obrzucił mnie w swoim artykule stekiem kalumnij. Na kalumnje możnaby odpowiedzieć

tylko kalumnjami, a do tego nie mam ani ochoty, ani czasu... Opozycja prawicowa, stojąca na gruncie kapitalizmu straciła tupet wskutek znanych nastrojów wsi, powstałych na tle kryzysu gospodarczego.

Najbardziej obrzydliwą dla mnie jest opozycja, którą określiłem mianem nijakiej. Jest ona stosowana ze strony tych ludzi, którzy częstokroć wogóle książki mojej nie przeczytali, albo też umysłem swoim nie dorośli do zrozumienia poruszonych w niej zagadnień i wagi ich dla całości ruchu— a jednak w różny sposób starają się zwalczać „Agraryzm". Czynią to nie dlatego, żeby mieli w tej materji inne zdanie... ale dlatego, że go wogóle nie mają; znacznie bowiem wygodniejszy jest dla nich dotychczasowy stan..., bo łatwiej im jest utrzymywać się na powierzchni przy pomocy pewnego zasobu przyswojonych sobie ale mocno już wyświechtanych i przestarzałych frazesów bez niepotrzebnego według nich balastu myślenia...

Najsilniejszy atak przeciwko „Agraryzmowi" wytoczyła opozycja lewicowa, zwolennicy marksizmu we wszystkich jego odmianach.

Pisma komunistyczne wypisywały przeciwko mnie podobno nawet kilkustronicowe artykuły oczywiście o zgóry wiadomej treści. Piszę podobno, gdyż żadnego z tych artykułów nie czytałem. To byłoby niepotrzebną stratą czasu, bo znając doktrynerstwo i dogmatyzm komunistów, jestem przekonany, że nic nowego tam nie znalazłbym poza tem, co mi jest znanem z literatury komunistycznej.

Z ogólnego nastawienia i z pewnych dość wyraźnych aluzyj wnioskuję, że w dużym stopniu przeciwko „Agraryzmowi" została wymierzona „Nowa Kultura" M. Czuchnowskiego. Znając dobrze autora, sądziłem, że mimo tkwienia w komunistycznych teorjach po same uszy, przecież jako człowiek ze wsi potrafi dać z siebie coś oryginalnego i wartościowego. Niestety, zawód na całej linji. Można byłoby się tylko spierać o to, czy w broszurze Czuchnowskiego na początku są myśli Marksa, a na końcu Lenina, czy też krzyżują się one ze sobą przegradzane wstawkami z innych teoretyków komunistycznych. Wdzięczne to zadanie pozostawimy przyszłemu krytykowi politycznych pism Marjana Czuchnowskiego, który będzie miał czas na tę zabawkę. — Jeden z moich kolegów, dość dobry znawca literatury komunistycznej i socjalistycznej, wyraził opinję, że jedyną oryginalną rzeczą w „Nowej Kulturze" są wymyślania, obelgi, kalumnje... i to nie te pod adresem faszyzmu, mieszczaństwa, kapitalizmu i t. p., bo tem się posługuje każdy komunista, ale te, skierowane przeciwko samodzielnemu ruchowi chłopskiemu. Przed kilkoma dniami przeczytałem „Nową Kulturę„ i przyznaję, że trudno byłoby mi dodać coś nowego do tego określenia.

Czuchnowski, jako ortodoksyjny marksista, trzymający się dogmatycznie jak pijany płotu sformułowania... proletarjat i warstwy, pośrednie.. — pluje z wściekłością na samodzielny ruch chłopski, który jego zdaniem nie ma żadnej racji bytu. Warstwa chłopska powinna się dobrowolnie podporządkować proletarjatowi i iść pod jego kierownictwo. Czuchnowski już teraz radzi przygotowywać się chłopom do „skoku w proletarjat". — W warunkach polskich 70% chłopów ma skoczyć w 10% robotników i poddać się posłusznie pod ich kierownictwo! Takie oto bzdury, idjotyzmy i kretynizmy rodzą się w głowach kawiarnianych literatów, którzy, o ironjo, tworzą chłopską literaturę! Wobec zupełnie wyraźnej wypowiedzi Czuchnowskiego dziwnem się wydaje, że człowiek ten upar-

cie szuka azylu na terenie samodzielnego ruchu chłopskiego. Oczywiście, że niezłą jest metoda robienia zamętu w okresie rodzenia się myśli chłopskiej i zawracania głowy niezorjentowanym młodzieńcom...

Jako odpowiedź na „Agraryzm" ukazała się książka M. Poleszczuka p. t. „Właściwa droga wsi do dobrobytu", którego poglądy aczkolwiek w pewnym stopniu samodzielne — zawierają jednak dużo naleciałości marksistowskich, co do kierunku rozwiązania kwestji rolnej. Z książką M. P. nie zamierzam na tem miejscu polemizować. Tygodniowe rozważania społeczno-gospodarcze w Krakowie istotę sporu wszechstronnie naświetliły zarówno ze strony teoretyków jakoteż działaczy terenowych i to bynajmniej nie po linji wywodów Poleszczuka. Generalny zarzut postawiony mi przez Poleszczuka w jego książce, że piszę poezje i uciekam od cyfr, miałem możność odeprzeć na krakowskich rozważaniach, szeroko ilustrując cyframi swoje twierdzenia. Zarzut uciekania od cyfr okazał się dla P. grubo obosieczny, bo cyframi kładziony na obydwie łopatki bronił się już całkiem niepoważnie, twierdząc, że dla niego nie mają wartości cyfry i zestawienia statystyczne, przezemnie przytoczone, jako że pochodzą ze stosunków panujących w ustroju kapitalistycznym — a decydującemi mogą być dla niego cyfry, które będą w przyszłym ustroju. Są to oczywiście wogóle nie nadające się dodyskusji argumenty.

W wypowiedziach na temat obecnego i przyszłego ustroju społecznego tkwi bardzo często dużo nieporozumień i pewnego rodzaju romantyzmu. Wielu ludziom się wydaje, że w przyszłym ustroju zapanują całkiem inne prawa gospodarcze, że wszystko będzie pięknie i idealnie — ot tak samo ze siebie. Często też szanowni dyskutanci lubią wykonywać już całkiem młodzieńcze skoki nawet wówczas, kiedy mają siwe brody.

Do tych z konieczności muszę zaliczyć czcigodnego senatora T. Nocznickiego, autora artykułu w ostatnim numerze „Młodej Myśli Ludowej" p. t. „Zabieram głos". Zgadzam się całkowicie z ob. Nocznickim, że wieś przeżywa straszną nędzę, głodowanie i t. p. Uważam jednak, że w nędzy nie należy tembardziej robić głupstw i tracić zdrowego rozsądku, aby przypadkowo nie dostać się z deszczu pod rynnę. Przedewszystkiem należy wyzbyć się niebezpiecznego w życiu gospodarczem romantyzmu, łudzenia siebie i drugich pięknemi może teoretycznie ale nie zawsze zbawczemi praktycznie mrzonkami. Ob. Nocznicki przekreślił wartość mojej książki dlatego tylko, że w rolnictwie stanąłem na gruncie prywatnej własności chłopskiej, a ściślej mówiąc, indywidualnej formy produkcji rolnej. Gdybym był poszedł o krok dalej i stanął na gruncie „spólnot rolnych" to oczywiście byłbym bardzo postępowym, nowoczesnym i moja książka także nie byłaby się tak szybko postarzała. Małe a raczej duże nieporozumienie, Czcigodny Panie Senatorze! Rozumowanie jest bardzo proste. Weźmy dla przykładu jedną rozdrobnioną wieś małopolską. Niewątpliwie panuje tam duża nędza, ludzie głodują. Jest określona przestrzeń ziemi i określona ilość ludzi. Głód ziemi rzuca się w oczy, bo jest ona niepomnażalna, a ludzi wciąż przybywa. Każdy jednak na własną rękę robi co może, aby utrzymać się przy życiu. Wyciąga z gospodarstwa wszystko, co jest tylko możliwem, nic się u niego nie zmarnuje. Przychodzą teraz do tej wsi zbawcy i mówią do zbiedzonych chłopów, że mają niezawodny lek na ich nędzę, t. j. spólnoty rolne; jakiś taki cudowny środek, że wystarczy tylko formalnie zmienić gospodarkę rolną, oddać ziemię do spólnoty, in-

wentarz żywy i martwy też — a ta wspólnota da im już jedzenie, okryje ich, da im rozrywki, teatry, radja, czytelnie, bibljoteki, łaźnie, sama zapłaci podatki i ubezpieczenia i t. p. Wszystko jak w bajce... jak po zażyciu opjum.

Złudzenia, Czcigodny p. Senatorze! Życie gospodarcze nie zna takich cudów! Spólnota rolna zbiedzonej wsi małopolskiej nie tylko że nie uszczęśliwi jej mieszkańców, ale napewno zdecydowanie pogłębi ich nędzę. Zgóry bowiem musi się być przygotowanym na to, że objętość produkcji się obniży, a jak się mniej wyprodukuje to w jakiż cudowny sposób można będzie lepiej zaspokoić potrzeby nędznie dotychczas bytujących ludzi? Rachunkowość rolna ponad wszelką wątpliwość udowadnia, że tak znienawidzona przez teoretyków socjalistycznych i komunistycznych gospodarka chłopska góruje zdecydowanie nad wielką własnością ziemską, w końcowym efekcie gospodarowania produkując kilkakroć więcej od niej. Kolektywy w rolnictwie rosyjskiem, które przecież są zbliżone do spólnot — obniżyły produkcję hodowlaną do połowy! I dzisiaj Sowiety, chcąc uchronić rolnictwo swoje przed całkowitą ruiną, wysunęły hasło programowe, że powinno się dążyć do tego stanu, aby każdy kołchoznik miał swoją krowę i świnię. Jako forma produkcji rolnej na pierwsze miejsce wysuwają się obecnie artele, które są połączeniem gospodarki indywidualnej z uspołecznioną. A zatem jakżeż szybki odwrót od pierwotnej linji generalnej!

Przypatrzmy się teraz zagadnieniu w płaszczyźnie ogólnopolskiej. Mamy w Polsce określoną ilość ziemi i określoną ilość ludzi, których chcemy na niej osadzić. Wiadomą jest rzeczą powszechnie, że jesteśmy krajem przeludnionym, że ziemi mamy za mało w stosunku do ilości ludzi pracujących i żyjących z rolnictwa. Mamy nadmiar rąk roboczych, których nie mamy gdzie produktywnie zatrudnić. Otóż tak samo dla całej Polski musimy wybrać taką formę gospodarowania w rolnictwie, któraby nam gwarantowała jaknajwiększą produkcję brutto. Jeżeli się puścimy na eksperymenty i obniżymy produkcję — to równocześnie pogłębimy nędzę niedojadających obecnie mas pracujących. — Jeżeli chodzi o proces rozdrabniania się gospodarstw to tutaj spólnota rolna także niczego nie rozwiązuje, bo przecież i przy systemie wspólnoty ludności będzie przybywać i decydującem będzie to, ile powierzchni ziemi uprawnej przypadnie na człowieka.

Argument, że dzisiaj chłop ma „tytuł własności bez prawa własności" jest tylko grą słów, która owszem ma dzisiaj swoją treść życiową — ale jeżeli za podstawę rozumowania weźmiemy moment przebudowy gospodarczej — to powiedzenie to nie ma dla nas żadnego znaczenia. Nie łudźmy się tem, że w przyszłym ustroju zmienią się wszystkie prawa gospodarcze. To jest zasadnicze nieporozumienie. Tak jak w dzisiejszym ustroju — ludzkość będzie szła do dobrobytu tylko wówczas, jeżeli będzie pomnażać sumę dóbr społecznych. I to obok postulatu sprawiedliwości społecznej musi być w pierwszym rzędzie brane pod uwagę przy budowie nowego ustroju. Jest jeszcze szereg innych pozagospodarczych momentów, przemawiających przeciwko spólnotom rolnym, które nawet w obecnych warunkach musiałyby być wprowadzone drogą gwałtu i przymusu. Jestem z całej duszy zwolennikiem daleko idących reform społecznych, ale mądrych i przemyślanych a więc takich, któreby później swojem ostrzem

nie zwróciły się przeciwko człowiekowi. Nie mam nic przeciwko temu, aby dzisiaj nawet powstawały spólnoty rolne — ale pod warunkiem, że będzie to akt dobrowolny, zrzeszających się dla osiągnięcia określonych celów gospodarczych i społecznych. Jestem zwolennikiem radykalnych eksperymentów, ale nie na skórze chłopskiej, bo dość już na niej eksperymentowano w ciągu dziejów. Pozwólmy mu raz wreszcie budować i przeobrażać wieś według swojego rozumienia i własnych potrzeb Momenty psychologiczne, odgrywające w produkcji rolnej decydującą rolę, w żadnym wypadku nie mogą być zapoznawane. One sprawiają, że przebudowa przemysłu a przebudowa rolnictwa — to są dwie różne niemal rzeczy.

„Robotnik" z dn. 31.XII. 1934 w artykule p. t. „Młoda wieś w poszukiwaniu nowych dróg" dał omówienie mojej książki. Artykuł naogół dość rzeczowy ale popełniono w nim poważne niekonsekwencje. Oto jedno ze zdań: „To nie jest przebudowa, to — może i poważna nawet — ale tylko jego reforma. Sam ustrój pozostaje właściwie ten sam bez żadnych zasadniczych zmian, ulega tylko kilku poprawkom, możnaby powiedzieć pewnej racjonalizacji". — Rzecz dziwna i nadzwyczaj ciekawa. Uspołecznienie fabryk, kopalni, banków, lasów, zniesienie wielkiej własności ziemskiej aż do granic samodzielnego warsztatu rolnego, wreszcie zastąpienie prywatnego handlu — uspołecznionem pośrednictwem, ujętem w formy spółdzielcze to dla recenzenta „Robotnika" jest pozostawieniem ustroju bez żadnych zasadniczych zmian! Mam wrażenie, że piszący te słowa trochę się zagalopował, względnie inne momenty nie pozwoliły mu na stwierdzenie objektywnej prawdy. Źródłem tych niekonsekwencji jest to, że pewne zagadnienia oświetla się w zależności od swoich potrzeb. Wyłazi to całkowicie z omawianego artykułu. Autor w jednem miejscu podnosi, że jest wielkim krokiem naprzód w rozwoju myśli chłopskiej stwierdzenie, iż chłop społecznie stoi blisko robotnika. Znaczy się, iż nie uznaje chłopa za kapitalistę. Całkowita zgoda. Ale pocóż wobec tego w dalszym ciągu twierdzi, iż w „agraryzmie" ustrój pozostaje ten sam, bo pozostawia się w nim chłopa na jego indywidualnym warsztacie. Tu znów z chłopa robi się murowanego kapitalistę, który jedynie nadaje cechę dzisiejszemu ustrojowi.

Trzeba się na jedno zdecydować, bo tylko tą drogą można uniknąć niekonsekwencji.

Droga do porozumienia otwarta... — Wspaniale — osobiście jestem gorącym zwolennikiem porozumienia chłopsko-robotniczego — ale to wcale nie znaczy, że warstwa chłopska ma przyjąć socjalizm w całej jego rozciągłości za swoją ideologję. Uważam socjalizm za doktrynerstwo wartościowe ale w odniesieniu do interesów warstwy robotniczej, stosunków miejskich, produkcji przemysłowej i t. p. — tam się on zrodził i tam też może być z powodzeniem urzeczywistniony. Warstwa chłopska stwarza sobie już dzisiaj całkiem konkretnie swoją ideologję, będącą wyrazem własnych interesów klasowych, potrzeb duchowych i kulturalnych, patrzenia na świat i życie, odrębności produkcji rolnej i t. p. Tą rodzącą się ideologją jest **agraryzm.** Może się to komu nie podobać, może to komuś przekreślać jego plany — ale na to trudna rada. Agraryzm jest kierunkiem zdecydowanie antykapitalistycznym — zatem platforma do porozumienia jest, punkty styczne dadzą się wyłuskać.

Ideologja agraryzmu musi być ideologją idącej Polski. Układ sił społecznych i gospodarczych wskazuje na to, że budowa Polski musi się oprzeć o wieś. Warstwa chłopska i pomniejsze warstwy świata pracy muszą wziąć na siebie budowę nowego ustroju.

Z tych względów rozbudowę i wszechstronne rozpracowanie agraryzmu uważam w tej chwili za najpilniejsze zadanie.

Wierzę głęboko, że w warunkach polskich jedynie wieś może wytworzyć z siebie potężną i twórczą ideologję, która przyćmi blaskiem wszystkie inne i wskaże całemu narodowi właściwe szlaki jego rozwoju.

TADEUSZ REK

PRZEMIANY

Każdy ruch masowy poza swą formą — organizacją — posiada duszę, treść, a więc ideę, założenia i cele. Bez idei — pomińmy w tej chwili jej wartość — byłaby zorganizowana masa bezduszna. Stąd też jasny wniosek: im dokładniej określony jest cel i bardziej proste drogi, tem ruch taki jest więcej zwarty w sobie, odporniejszy na wpływy obce i lepiej przygotowany do walki.

Duszą i treścią ruchu ludowego jest bezwątpienia demokracja, którą pojmować należy, jako zniesienie do możliwych, najdalej posuniętych granic, nierówności w stosunkach ludzkich, a więc zarówno społecznych, politycznych, kulturalnych, jak i gospodarczych. Iść nam trzeba w tym kierunku tak daleko, jak tylko natura ludzka przygotowywana do tego — zajść zdoła.

Rozumiemy dobrze, jakie przed nami trudności leżą, które bezwzględnie pokonać musimy, inaczej bowiem nie ruszylibyśmy się z miejsca; zdajemy sobie aż nadto dobrze sprawę z przeszkód, jakie nam zawsze stawiać będą. I wiemy przytem doskonale, że liczenie na przypadek, lub co jeszcze gorsze — na czyjąś pomoc, czy zlitowanie się nad losem pokrzywdzonych — jest najzwyczajniejszem oszukiwaniem samego siebie, jest zamykaniem oczu i kroczeniem poomacku nad przepaścią. Na świecie tak już jest, że liczą się tylko z silnymi, a o ustąpieniu części swoich praw, czy dóbr na korzyść najwięcej upośledzonych może być mowa dopiero wtedy, gdy przymus w tym kierunku zaczyna działać. Z dobrej woli ludzie nie bardzo kwapią się zrzekać swych uprawnień. Bo, jak dotychczas, nie tyle miłość, ile siła, na świecie panuje. Dlatego trzeba się z tem liczyć, w przeciwnym razie bowiem zaczęlibyśmy z nieprzyjacielskiemi armatami i karabinami maszynowemi wojować — sercem, prośbami i modłami. Wynik takiej walki zawsze jest zgóry wiadomy — zwycięża silniejszy, lepiej przygotowany, sama wiara w słuszność swojej sprawy nie wystarcza.

Uprzytomnijmy sobie dobrze ogromnie ważny przejaw natury człowieczej: przyzwyczajanie się do istniejących form i urządzeń — bez wzglę-

du na ich wartość. Zazwyczaj zapominamy o przyczynach wprowadzenia różnych praw, czy nakazów moralnych, nie staramy się zdać sobie sprawy z tego, że wiele z nich zaprowadzono i utrwalono jedynie tylko dla zabezpieczania swego panowania, a więc dla naszego ujarzmienia, celem rzucenia nas na długie wieki pod nogi możnym i mądrym. Bo nie wolno zakrywać oczu na to, że ci, którzy wszystkie istniejące do dziś przepisy prawne i nakazy etyczne wprowadzali, którzy wszczepiali w nas przeświadczenie o świętości tych urządzeń — byli mądrzy. Właśnie tylko dzięki swej mądrości zdołali świat tak urządzić, tak ułożyć stosunki i uformować sposób myślenia wszystkich ludzi, że dziś — nie chodzi przecież o formę, tylko o treść — mamy pana i niewolnika, władcę i poddanego, bogacza i nędzarza. I co najgorsze — to jakże głęboko zakorzenione przekonanie, że tak ciągle być musi, że obecne podstawowe formy panującego ustroju są jakąś nietykalną świętością! Oto do czego doprowadzono ciemnych, oszukiwanych ludzi!

Przed nami są jedynie dwa wyjścia: zupełna przebudowa obecnego ustroju, a w takim razie zniesienie tego wszystkiego, co dziś jest kamieniem węgielnym ustroju kapitalistycznego i wprowadzenie wzamian zato nowych urządzeń, nowych praw, nowego ładu — albo też pozostanie przy obecnych formach i urządzeniach. Przeprowadzanie nieznacznych tylko reform, wygładzających, a nie znoszących pomiędzy różnemi grupami społecznemi panujących różnic — byłoby dreptaniem w miejscu w przekonaniu, że się szybko naprzód poruszamy, albo też zamianą zwyczajnego postronka na elegancki, bodajże nawet jedwabny, sznur, któryby jednak z niewiele mniejszą siłą zaciskał się koło naszego gardła. Niewątpliwie też albo sami pójdziemy, albo życie zmusi nas do pójścia na całkowitą przebudowę, w przeciwnym bowiem razie nie bardzo możnaby się było dopatrzeć racji naszego istnienia.

Prosty rozum wskazuje, że ten tylko może liczyć na powodzenie w walce, kto zna dobrze swego przeciwnika, wie o jego rozmieszczeniu, o sposobach i środkach przez niego w walce używanych. Pamiętajmy przytem o wielkiej przebiegłości i dużem doświadczeniu naszych przeciwników. Wszystko to, czego obecnie jesteśmy świadkami, wszystkie prawa, zwyczaje i urządzenia kształtowały się tysiące lat, zasady przez nie uformowane stały się podłożem naszego myślenia, my teraz, sami sobie sprawy z tego najczęściej nie zdając, jesteśmy często najzwyczajniejszymi niewolnikami, pozostającymi na służbie tych właśnie wrogich nam zasad. I stąd też jako konieczność wypływa wniosek, że trzeba dobrze poznać swojego wroga, nigdy zadużo o nim wiedzieć nie będziemy, nigdy zanadto do rozprawy z nim przygotowani nie zostaniemy.

Myliłby się jednakże ten, ktoby ze skłonności człowieka do wmawiania za „tabu" wszystkich panujących współcześnie „prawd" wyciągnął wniosek o jego całkowitej niezdolności do poruszania się naprzód. Trzeba właśnie podkreślić, że w człowieku buntuje się często jego natura, a wtedy powstaje chęć otrząśnięcia się z krępujących go więzów i rodzi się pęd do czegoś nowego, nieznanego, ale — w jego najlepszem rozumieniu — piękniejszego, czy też pożyteczniejszego. Nie każdy przecież jest niewolnikiem z ducha, nie każdemu uśmiecha się bezustanne grzęźnięcie w zakreślonym groblami obszarze spleśniałej wody i błota — niejeden rwie się naprzód — nie wie wprawdzie dokładnie co się znajduje za, ograni-

czającą pole jego widzenia, groblą, ale, być może, roztacza się tam piękna równina, zalana nie bajorem, a tylko promieniami słońca? Napewno tego nie wie, ale jego obliczenia, jego przeczucie mówi, że lepiej tam jest. Istnieje przecież w wielu ludziach wieczny głód wiedzy, nieustanna tęsknota za czemś nowem, nieznanem, lepszem, nie daje im spokoju pragnienie poznawania coraz to nowych prawd, chcą rozjaśnić jaknajwięcej roztaczających się przed nimi tajemnic, iść, chociażby niekiedy poomacku, zawsze jednak ku nowemu życiu. Należałoby uprzytomnić sobie dobrze niezmiernie ważną prawdę: gdyby nie ci buntownicy życiowi, gdyby nie te wiecznie poszukujące nowości duchy, gdyby nie ci „wywrotowcy”, pragnący stare obiegowe prawdy zamienić na bardziej wartościowe — słowem, gdyby nie ci wszyscy „warjaci”, których pale, krzyże, szubienice i płonące stosy nie zdołały odstraszyć od zdążania w wytkniętym przez siebie kierunku i ciągłem poszukiwaniu czegoś nowego — napewno nie wiele różnilibyśmy się od naszych, przed setkami tysięcy, czy miljonami lat na podzwrotnikowych drzewach mieszkających, pra-ojców. *Niewolno nam zapominać, że każdy wynalazek, każda świeża, nieuświęcona tradycja, myśl — były zawsze i wszędzie przyjmowane drwinami, jeżeli nie wprost więzieniami dla ich twórców.* Mimo to wszystko jednak śmiała myśl nielicznych „buntowników”, wyśmiewana i prześladowana, kroczyła ciągle naprzód powodując po swej triumfalnej drodze przewroty w dziedzinie techniki, ustrojów społecznych, czy gospodarczych.

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że wśród ludzi pokaźną ilość stanowią tacy, którzy dla siebie i innych dają następującą receptę: ja wiem, że to jest złe, a tamto niedobre, widzę, że zadużo nagromadziło się nieuczciwości, obłudy i kłamstwa — ale dlaczegóż to tylu ludzi, którzy również to wszystko dobrze widzą, siedzi cicho? Pomiędzy sobą, naucho, możnaby pogadać, ale publicznie z tem występować? Cóż zrobią te nieliczne jednostki — narażają się tylko, tracą uznanie u ludzi (w nawiasie należy dodać — i dobrze porosłych w pierze najczęściej cudzym kosztem!) To są ludzie, dla których najistotniejsze wartości w życiu, to: ciepła pierzyna, pełny brzuch i ładny ubiór. Pozatem może nic więcej nie istnieć dla nich.

Nie brak również dusz lokajskich — były zawsze, są i dziś. Taka dusza za nazwanie jej przez możniejszego „panem bratem”, poklepanie po ramieniu, za rzucony ochłap — będzie się mizdrzyć i giąć w ukłonach, nadskakiwać i patrzeć z psią uniżonością w oczy „swego pana”, aby każdą myśl, najmniejsze życzenie odgadnąć — nie rozumem, bo rozum tu nic nie może, ale jakimś zwierzęcym instynktem — byleby tylko raczono na jej gorliwość łaskawie spojrzeć i zauważyć. Tacy będą służyć zawsze, bo nie mogliby żyć bez „pańskiego” uśmiechu. Dziś to, jutro inne bożyszcze wynajdą sobie, aby tylko bić pokłony, bo to jest treścią ich lokajskiego życia.

Obecne ustroje, panujące prawie wszędzie na świecie, mają to do siebie, że na ich straży stoją całe wieki potwornej niedoli zbiedzonych mas pracujących, że te masy zostały przekonane przy pomocy niewolniczych kańczugów, pańszczyźnianych batogów i rzucanych gęsto gróźb, czy klątw — o ich nienaruszalnej świętości. Stąd też wypływa bardzo ważny wniosek, wywierający olbrzymi wpływ na możliwości wyjścia z tego ba-

gna ustrojowego, gdzie nas łaskawie i dostojnie raczono doprowadzić: wybijmy sobie raz nazawsze z głowy myśl, ażeby nastąpiło w najbliższej przyszłości takie zrozumienie, że całe masy pokrzywdzonych pójdą ławą do walki o swoje prawa, o swoją godność ludzką, o możliwości do człowieczego życia. Długi czas napewno jeszcze będzie tak, że tylko część i to może nieliczna poniesie sztandar buntu i walki o nowe życie, tylko jednostki podążą naprzód, a masy całe będą sią zachowywać mniejwięcej tak, jak to się dziś dzieje: część pójdzie w karnych szeregach za swoimi przodownikami, odda im wszystkie swe siły i możliwości, aby tylko, chociaż powoli, ale bezustannie, krok za krokiem, posuwać się naprzód; będą jednak i tacy, którzy za poczęstowanie papierosem, czy poklepanie po ramieniu przez „pana dziedzica", albo księdza proboszcza zaczną podłą, niewolniczą walkę ze swymi światlejszymi sąsiadami; będą rzucać obelgi, szkalować, szpiclować; znajdą się nadal prawdopodobnie i tacy, którzy za rzucony ochłap, za judaszowe grosze gotowi będą sprzedawać swoich braci. Tak było zawsze, jest i prawdopodobnie, pozostanie nadal.

Pozornie mogłoby się wydawać, że pozostajemy ciągle w miejscu, używamy dziś tych samych, a przynajmniej takich samych narzędzi co i wczoraj, tak samo myślimy i w to samo wierzymy niezmiennie, że postępowanie nasze jest podobne zawsze do siebie — jest to jednakże tylko złudzenie. Rzecz prosta — dla najbystrzejszego wzroku i najrozsądniejszego umysłu zbyt trudno byłoby dostrzec różnicę na małej przestrzeni czasu — prawie każdy chyba potrafi jednak zauważyć, że to, co było 10 lat temu nie jest ze wszystkiem podobne do tego, co jest dziś. A więc w naszych oczach, za naszej pamięci — te same przyczyny wywołują niezupełnie takie same skutki. I na tem polega postęp, na ciągłych zmianach, na szukaniu coraz to nowych dróg i nowych sposobów urządzania stosunków ludzkich. Bez tego życie stałoby się beznadziejnie smutne i ciężkie — potrzebny jest ciągły ruch. Wśród przemian, jakie się dokonały na wsi w ostatnich czasach, rzuca się w oczy duże zrozumienie własnych wysiłków, a więc tem samem wiara we własne siły i zupełne prawie wyrzeczenie się nieproszonych opiekunów. Naturalnie, że jest to kropla w morzu, zrozumienie to spostrzegamy jedynie w nielicznych, narażonych przez to na prześladowania ze strony przeciwników, a na szyderstwa własnych zacofanych sąsiadów — jest to już jednakże dużo w porównaniu z tem, co było kilkanaście, czy nawet kilka lat temu. Daleko nam wprawdzie jeszcze do całkowitego okrzepnięcia się w sobie, dużo mącić i bruździć mogą i napewno będą jeszcze przeróżne typy i typki zbawców, posiadających średniowieczne balsamy, naprawdę i jedynie według nich skuteczne na wszelkie dolegliwości. I co najważniejsze — czarodzieje ci zupełnie bezinteresownie i tylko z miłości dla ciebie przynoszą swoje cudowne lekarstwa, wzamian nie chcą nic za swoje usługi — mandaty poselskie całkowicie im wystarczą.

Pamiętajmy, że przemiany iść mogą zarówno w kierunku polepszenia, jak i pogorszenia naszego życia — od nas wyłącznie zależy nadanie im właściwego kierunku.

S. J.

HISTORJA TRAKTATU O MNIEJSZOŚCIACH

III.

W dniu 28 czerwca 1919 r. w Wersalu podpisany został traktat pokoju z Niemcami i traktat dodatkowy t. zw. traktat o mniejszościach. Ten ostatni traktat podpisały: Stany Zjednoczone Ameryki Północnej, Imperjum Brytyjskie, Francja, Włochy i Japonja z jednej strony, a Polska z drugiej.

We wstępie do tego traktatu o mniejszościach czytamy: „Wobec tego, że mocarstwa sprzymierzone i stowarzyszone dzięki powodzeniu swego oręża przywróciły Narodowi Polskiemu niepodległość, której niesprawiedliwie był pozbawiony; wobec tego, że rząd rosyjski odezwą 30 marca 1917 r. zgodził się na przywrócenie niepodległego Państwa Polskiego; że Państwo Polskie, faktycznie sprawujące teraz zwierzchnictwo nad częściami dawnego Cesarstwa Rosyjskiego, zamieszkałemi w większości przez Polaków, już zostało uznane przez główne mocarstwa sprzymierzone i stowarzyszone, jako państwo zwierzchnie i niepodległe;

Wobec tego, że na zasadzie Traktatu Pokoju, zawartego z Niemcami przez mocarstwa sprzymierzone i stowarzyszone, traktatu podpisanego przez Polskę, niektóre terytorja dawnego cesarstwa niemieckiego będą wcielone do terytorjum Polski; że według brzmienia wspomnianego traktatu pokoju granice Polski, które w nim jeszcze nie zostały ustalone, mają być wyznaczone później przez główne mocarstwa sprzymierzone i stowarzyszone; Stany Zjednoczone Ameryki Północnej, Wielka Brytanja, Francja, Włochy i Japonja z jednej strony, potwierdzając swe uznanie Państwa Polskiego, ustanowionego we wspomnianych granicach, jako członka rodziny narodów zwierzchniczego i niepodległego, oraz chcąc zapewnić wykonanie art. 93 traktatu pokoju z Niemcami;

Z drugiej strony Polska, **pragnąc przystosować swe urządzenia do zasad wolności i sprawiedliwości, oraz dać niezawodną rękojmię wszystkim mieszkańcom terytorjów,** nad któremi objęła zwierzchnictwo — zgodziła się na następujące postanowienia:

Art. 1. Polska **zobowiązuje się, że postanowienia, zawarte w artykułach od 2 do 8 niniejszego rozdziału, będą uznane za prawa zasadnicze, że żadna ustawa, żadne rozporządzenie, ani żadna działalność urzędowa nie stanie w sprzeczności lub przeciwieństwie do tych postanowień, że żadna ustawa, żadne rozporządzenie ani też żadna działalność urzędowa nie będzie miała wbrew nim mocy".**

Artykuł pierwszy traktatu o mniejszościach jest powtórzeniem prawie dosłownem punktu dziesiątego memorjału komitetu delegacyj żydowskich na konferencję pokojową, o czem obszernie pisaliśmy w części pierwszej niniejszego artykułu.

Art. 2 traktatu brzmi: „Rząd Polski zobowiązuje się udzielić wszystkim mieszkańcom bez różnicy urodzenia, narodowości, języka, religji, czy rasy zupełnej i całkowitej ochrony życia i wolności;

Wszyscy mieszkańcy Polski będą mieli prawo swobodnego wykonywania praktyk zarówno publicznie jak i prywatnie każdej wiary, religji czy wierzenia, o ile te praktyki będą w zgodzie z porządkiem publicznym i dobremi obyczajami".

Artykuły 4, 5 i 6 dotyczą uzyskania obywatelstwa polskiego.

Art. 7. „Wszyscy obywatele polscy bez różnicy rasy, języka lub religji będą równi wobec prawa i korzystać będą z tych samych praw cywilnych i politycznych.

Różnica co do religji, wierzeń lub wyznania nie może szkodzić żadnemu obywatelowi polskiemu w korzystaniu z praw cywilnych i politycznych, mianowicie, gdy chodzi o dopuszczenie do urzędów publicznych, obowiązków i zaszczytów lub o wykonywanie różnych zawodów i przemysłu.

Nie będzie wydane żadne ograniczenie swobodnego używania przez obywatela polskiego jakiegokolwiek języka, czy to w stosunkach prywatnych lub handlowych, czy to w sprawach religijnych, prasowych lub publikacjach wszelkiego rodzaju, czy też na zebraniach publicznych.

Bez względu na ustanowienie przez rząd polski języka urzędowego, mają być poczynione obywatelom polskim języka innego, niż polski, odpowiednie ułatwienia w używaniu ich języka w sądach zarówno ustnie jak na piśmie.

Art. 8 głosi: „Obywatele polscy, należący do mniejszości etnicznych, religijnych, lub językowych, będą korzystali z takiego samego traktowania i z takich samych gwarancyj ustawowych oraz faktycznych, jak inni obywatele polscy. Mianowicie będą mieli równe prawa do zakładania, prowadzenia i kontrolowania własnym kosztem instytucyj dobroczynnych, religijnych lub społecznych, szkół i innych zakładów wychowawczych, oraz prawo swobodnego używania w nich własnego języka i swobodnego wykonywania praktyk swojej religji".

Art. 9 w pierwszym ustępie mówi o ułatwieniach przy nauczaniu języka ojczystego dzieci innego języka, niż polski. W drugim ustępie jest mowa o udziale mniejszości etnicznych, religijnych i językowych w korzystaniu z sum, które budżet państwowy, budżety miejskie lub inne przyznają z funduszów publicznych na cele wychowawcze, religijne lub dobroczynne.

Art. 10 mówi o specjalnych komitetach szkolnych, wyznaczonych przez gminy żydowskie w Polsce, które zajmować się będą rozdziałem funduszów na szkolnictwo żydowskie, organizacją i kierownictwem tych szkół.

Art. 11 zakazuje zmuszania żydów do wykonywania czynności w soboty.

W art. 12 czytamy: „**Polska zgadza się, aby postanowienia artykułów poprzednich, o ile dotyczą osób, należących do mniejszości rasowych, religijnych lub językowych, stanowiły zobowiązanie o znaczeniu międzynarodowem i zostały oddane pod gwarancję Ligi Narodów. Nie będą one mogły być zmienione bez zgody większości Rady Ligi Narodów. Stany Zjednoczone Ameryki Północnej, Imperjum W. Brytanji, Francja, Włochy i Japonja zobowiązują się nie odmawiać swego przyzwolenia na jakąkolwiek zmianę powyższych artykułów, którąby uzyskała w należytej formie zgodę większości Rady Ligi Narodów.**

Polska zgadza się, aby każdy członek Rady Ligi Narodów miał prawo zwracać uwagę Rady na przekroczenia lub niebezpieczeństwo przekroczenia, którego kolwiek z tych zobowiązań, oraz, aby Rada mogła postąpić w taki sposób i dać takie instrukcje, jakie uzna za wskazane i skuteczne w danych okolicznościach.

Pozatem Polska zgadza się, aby w razie różnicy zdań w kwestjach prawa lub czynów, przewidzianych niniejszemi artykułami, zachodzącej pomiędzy rządem polskim, a którem z głównych mocarstw sprzymierzonych i stowarzyszonych lub jakiem innem mocarstwem, członkiem Rady Ligi Narodów, ta różnica zdań uważana była za spór o charakterze międzynarodowym zgodnie z art. 14 paktu Ligi Narodów.

Rząd Polski zgadza się, aby wszelkie spory tego rodzaju były na żądanie drugiej strony przekazywane stałemu Trybunałowi.

Decyzje Stałego Trybunału będą ostateczne i będą miały tę samą moc i wartość, co decyzje wydane na zasadzie art. 13 umowy".

Zobowiązania mniejszościowe, o których wyżej była mowa, narzucone na zasadzie art. 93 Traktatu Wersalskiego, stanowią pomniejszenie suwerenności Państwa Polskiego. Oddanie zaś tych zobowiązań stosownie do przepisów art. 12 traktatu o mniejszościach pod gwarancję Ligi Narodów stworzyło podstawy do ingerowania państw obcych w sprawy wewnętrzne Polski.

Profesor A. Mandelstam stwierdza, że **„zobowiązania te, ponieważ odnoszą się do obywateli, a specjalnie do mniejszości, są ograniczeniem suwerenności absolutnej państw zainteresowanych i to w imię prawa, które nie jest już prawem międzynarodowem, ponieważ nie ustala stosunków wzajemnych państw, lecz nakłada na nie obowiązki względem własnych obywateli".**

Traktaty o mniejszościach zostały narzucone przez główne mocarstwa sprzymierzone i stowarzyszone państwom nowopowstałym i wszystkim państwom zwyciężonym za wyjątkiem Niemiec. I to jest fakt znamienny, którego nie można pominąć milczeniem, gdyż setki tysięcy Polaków pozostały pod panowaniem niemieckiem bez analogicznej ochrony prawnej na wzór narzuconego nam traktatu.

Stanowisko Niemiec i mocarstw sprzymierzonych w sprawie międzynarodowej ochrony mniejszości wymaga bliższego oświetlenia.

W dniu 29 maja 1919 r. niemiecka delegacja przedłożyła uwagi do warunków pokoju, których ustępy, dotyczące ochrony mniejszości mają treść następującą:

„Rzesza Niemiecka wypowiada się ogólnie za ochroną mniejszości narodowych. Ochrona ta najskuteczniej będzie mogła być unormowana w ramach Ligi Narodów. Jednak ze strony niemieckiej muszą być wymagane pewne zapewnienia już w samym traktacie pokojowym dla tych mniejszości niemieckich, które przez odstąpienie dostają się pod obcą zwierzchność państwową. Mniejszościom tym należy umożliwić pielęgnowanie swej niemczyzny, specjalnie przez zapewnienie prawa utrzymywania i uczęszczania do niemieckich szkół i kościoła oraz wydawania niemieckich pism. Byłoby pożądane, by idąc jeszcze dalej, została stworzona autonomja kulturalna na podstawie katastrów narodowych. Rzesza niemiecka ze swej strony jest zdecydowana mniejszości obcych narodowości na swem terytorjum traktować według tych samych zasad".

Mocarstwa sprzymierzone i stowarzyszone w dniu 16 czerwca 1919 r. przesłały następującą odpowiedź na niemieckie uwagi z 29 maj 1919 r.: „Mocarstwa sprzym. i stow. są gotowe zapewnić gwarancje praw mniejszości niemieckich w dziedzinie oświatowo-wychowawczej, wyznaniowej i kulturalnej na obszarach państwa niemieckiego, przydzielonych do państw, utworzonych przez traktaty. Gwarancje te będą oddane pod opiekę Ligi Narodów. Mocarstwa sprzymierzone i stowarzyszone przyjmują do wiadomości **oświadczenie delegatów niemieckich, że Rzesza Niemiecka jest zdecydowana traktować obce mniejszości na swojem terytorjum zgodnie z temi samemi zasadami".**

Widzimy więc, że w stosunku do Niemiec wielkie mocarstwa kontentowały się zwykłem oświadczeniem ich o gotowości udzielenia ochrony mniejszościom narodowym, gdy tymczasem Polsce i innym państwom zostały narzucone przepisy prawne, ograniczające tych państw i Polski suwerenność.

S. M. G.

KU ZROZUMIENIU ISTOTNEGO STANU RZECZY

III.

W poprzednich artykułach starałem się wytłomaczyć, że fundamentem dobrego gospodarstwa społecznego jest kompletna wzajemna wymiana produkcji i, że zasadniczym warunkiem dobrej wymiany, jest równowaga wartości wymienianej produkcji między wsią, a miastem, a zatem, poziom cen po jednej i drugiej stronie odgrywa rolę pierwszorzędną i, od utrzymania właściwego poziomu wartości, zależne jest doprowadzenie wymiany do końca.

Jako mechanizm, któryby tej wymiany dokonał, proponowałem utworzenie specjalnego Banku Wszechrolnego. Muszę wytłomaczyć dlaczego ten, a nie inny sposób rozwiązania tego trudnego zadania uważam za najodpowiedniejszy.

Zastanówmy się jakie konieczności przy tym procesie muszą mieć miejsce:

a) Poziom cen rolniczych musi być utrzymany na pożądanej wysokości, wysokość cen musi nietylko usunąć deficyt z gospodarstw rolnych, ale dać możność spłaty zaległych, zamrożonych długów.

b) Prawidłowy rozwój stosunków handlowych i produkcyjnych nie może być oparty na założeniu, że długi zostaną częściowo lub całkowicie zanulowane, mogą być podane rewizji conajwyżej sumy powstałe z nadmiernego oprocentowania zobowiązań.

c) Obrót ziemiopłodami ażeby nie szwankował i nie wywoływał zatorów, musi mieć do dyspozycji aparat rozporządzający środkami pieniężnymi i to w ilości dostatecznej do wykonania powziętego zadania.

d) Cena ziemiopłodów ujęta ryczałtem tworzyć się musi z dwuch składowych, z ceny rynku wewnętrznego i exportowego. Wysokość jej zależna jest od ilościowego ustosunkowania się do siebie dwuch różnych kontygentów.

e) Należy uniknąć produkcji zbędnej, nikomu niepotrzebnej.

Widzimy więc, że konieczność zmusza do dyrektywy, płynącej z góry i do pewnej dyscypliny, którą najłatwiej utrzymać, operując w stosowny sposób pieniędzmi.

Punkt **a** i **b** nie wymaga szerszego wyjaśnienia, natomiast punkt **c** musi być szerzej omówiony.

Bank Wszechrolny, który wraz ze swemi oddziałami jest jedynym hurtownikiem sprzedającym ziemiopłody, te, które zostaną do tego celu przeznaczone, musi prowadzić finansową politykę tego rodzaju, którąby do założonych zgóry celów doprowadziła, a więc do rentowności gospodarstw i spłaty długów; musi więc rolnikowi od pierwszego momentu dostarczać pieniędzy, jako zaliczki, prowadzić rozrachunki i pewną ilość otrzymanych pieniędzy użyć na długoletnią spłatę zobowiązań. Musi zatem mieć pieniądze.

Wyrażenie „mieć pieniądze" ma dziś inne znaczenie niż to, do którego byliśmy przyzwyczajeni i które rzeczywiście dawniej oznaczało widome posiadanie pieniędzy. Ażeby to wyjaśnić muszę coś niecoś powiedzieć o nowoczesnym pieniądzu.

Dzisiejszy pieniądz nie posiada sam w sobie wartości. Jest papierem zabezpieczonym głównie złotem i innemi walorami przechowywanemi w odpowiedniem miejscu.

Jest to pieniądz obiegowy.

Tak zwany bilon, pełnej wartości w metalu również nie posiada, gdyż jest metalowym znakiem, do którego przyczepiono określone wartości. Lecz to co w potocznej mowie nazywa się pieniądzem, nie obejmuje wszystkiego, co rolę pieniądza pełni.

Rolę tę pełni każdy papier, którym się płaci. Oprócz bezterminowego pieniądza gospodarka ludzka wymagała utworzenia pieniądza czasowego, pomocnego w przeprowadzaniu tranzakcji i tym zastępczym pieniądzem są weksle, akcepty, kwity na okaziciela, czeki, zapisy książkowe i wszelki inny papier bankowy, za który dany bank bierze odpowiedzialność.

Obrót powyższego pieniadza terminowego przekracza w niektórych państwach kilkanastokrotnie obrót pieniądza bezterminowego i jego wielkość zależna jest od sprawności i konieczności gospodarczych. Jest to tak zwany obrót bezgotówkowy. Jednak warunkiem koniecznym do pełnego wyzyskania tego obrotu, jest odpowiedni mechanizm bankowy, cały system banków i banczków sięgających wszędzie. Jeden bank nie mający filji, nie jest wstanie należycie wyzyskać możliwości, że tak powiem „rozmnażania pieniądza".

W Polsce dotychczas niema systemu bankowego, któryby dostatecznie taką rolę spełniał. Jeżeli więc gospodarkę naszą chcemy dobrze poprowadzić, a nie mamy na to dostatecznej ilości bezterminowego pieniądza (zresztą żaden cywilizowany kraj nie ma tyle t. z. gotówki) musimy się uciec do rozbudowy systemu bankowego, któryby dał nam dostateczny obrót bezgotówkowy, przy użyciu maximum pieniądza zastępczego.

Nie dla wszystkich to rozmnażanie pieniądza jest zrozumiałe, nie wszyscy wszak mieli z tem do czynienia, dopiero po głębszem wniknięciu rozumie się, że to nie pieniądz się rozmnaża, a obrót odbywa się bezgotówkowo, towar za towar się daje, tylko nie z ręki do ręki, nie jednocześnie.

Wrażenie jest, że się czemś płaci, de facto ciągle odbywa się tylko wymiana, tylko ilość znaków wymiennych jest większa, jest zmienna, zależna od tych wymian.

Pewne wyraźne oświetlenie tego rodzaju obrotu zobrazować może następujący przykład.

Do Australji z Londynu jedzie kupiec po wełnę. Bierze ze sobą weksle akceptowane przez, powiedzmy, Midland Bank. Nic nas narazie nie obchodzi jakie kupiec dał zabezpieczenie bankowi, może na kamienicy, lub innym towarze, a może zabezpieczone są te akcepty tylko słowem, bo i takie wypadki mają tam miejsce. Kupiec płaci akceptami za wełnę hodowcy, hodowca opłaca temi samymi papierami dostawców, dostawcy, lub sam hodowca składa akcepty w banku w Sidney. Tam ma otwarty kredyt czekowy. Czeki przyjmują kupcy, pracownicy, hodowcy, lub dostawcy i, przechodzą z ręki do ręki, aż trafią do banku w Sidney. Bank w Sidney zaś musi zapłacić w Midland Banku w Londynie pewne zobowiązania innych swych klijentów i płaci je akceptami naszego kupca Midland Bankowi w Londynie. Akcepty więc znów są w Londynie, i tu kupiec już sprzedawszy wełnę przędzalniom, otrzymał od nich nowe czeki lub weksle i tymi papierami spłaca swój pierwotny dług w Midland Banku, wycofując swe akcepty.

Widzimy więc, że został stworzony nowy pieniądz, którego życie było ściśle terminem określone i, który umożliwił dokonanie skomplikowanych tranzakcji, pozwalając uniknąć użycia gotówki, czyli bezterminowego pieniądza obiegowego.

W następnym artykule omówię działanie Banku Wszechrolnego tak, jak to rozumiem, jako instytucji finansowej i pewnego rodzaju mózgu gospodarczego, pozwalającego nietylko zaprowadzić równowagę, ale uniknąć tych nadmiarów, które, jako niepotrzebne, są źródłem nieraz trudno uchwytnych, ale wielkich strat w gospodarce narodowej.

Wieś musi mieć swój grunt pod nogami i „swego Boga", musi odzyskać godność i zdobyć szlachetną chłopską dumę, aby mogła z resztą narodu wspólnie budować wielki dom kultury narodowej, w którym wszyscy czuć się będą swojo, równo i twórczo.

Ignacy Solarz

JÓZEF GRUDZIŃSKI

DWÓR I WIEŚ

Na zagadnienie wzajemnych stosunków dworu i wsi bardzo jasny strumień światła rzucają dwie ciekawe książki z ostatniej doby: *„Kordjan i cham". Leona Kruczkowskiego* oraz *„Szczenięce lata" — Melchjora Wańkowicza*).* Obydwie mają wartość dokumentów: Kruczkowski, pisząc swą powieść, nie schodził ani na krok z gruntu prawdy historycznej; książka Wańkowicza zawiera, ubrane w piękno poezji, wspomnienia, wyniesione przez autora z babczynych Nowotrzeb — majątku leżącego w Kowieńszczyźnie — i ojcowskich Kałużyc w powiecie ihumeńskim nad Berezyną. Dwór Kruczkowskiego i dwory Wańkowicza odległe są od siebie nietylko o szerokość geograficzną całej Polski, są one również dość odległe od siebie i w czasie. Zdarzenia, opisane w „Kordjanie i chamie" działy się zgórą sto lat temu; „Szczenięce lata" ilustrują nam życie Nowotrzeb i Kałużyc w okresie od kilkunastu lat przed wybuchem wojny do pierwszych chwil niepodległego państwa polskiego. Mimo te obydwie odległości, jakże bliskie są sobie i podobne: Brodnia oraz Nowotrzeby i Kałużyce! Powiedziałbym nawet, iż Nowotrzeby i Kałużyce są światem przyniesionym nam przed oczy z czasów odleglejszych a niżeli Brodnia, są one bryłą żywego średniowiecza, rzuconą w czasy nam współczesne.

Istnieje legenda, rozpowszechniona przez publicystów obszarniczo-ziemiańskich oraz przez samo ziemiaństwo o przodownictwie kulturalnem dworu wobec wsi, o kulturalnem promieniowaniu dworu na chłopską masę. Owo przodownictwo i promieniowanie podnosi się nawet do godności misji dziejowej ziemiaństwa. Misją tą usprawiedliwia się niejedno z przeszłości tej warstwy — nią podpiera się rację jej istnienia we współczesności. Przypatrzmy się zatem środowisku dworu pod kątem widzenia owej kulturalnej misji. Zbadajmy więc najpierw, jaka to treść kulturalna wypełniała owe środowiska, które mocą swojego promieniowania miały usuwać ciemną wełnę mroków, spowijających życie warstwy chłopskiej. — Jako ludzie, dziękujący Panu Bogu, jeżeli mamy własne cztery ściany, pułap i dach, gdzie moglibyśmy znaleźć schronienie; jako ludzie, którym blask złota zastępują blaski promieni słonecznych, którzy ściany swego mieszkania zwykli przyozdabiać prostemi wycinankami z papieru lub zielenią liści, przechodzimy obojętnie nad tem, z czego układane są posadzki w pańskim dworze, jacy malarze przyozdabiają sufity, czy ściany, lub też w jakim stylu budowane było to, czy owo skrzydło dworskiego pałacu — to nas niezbyt wiele obchodzi. Wszak ani blask pańskiej podłogi, ani obrazy na ścianach, ani styl taki czy inny, ani architektura — nie były najważniejszymi czynnikami kulturalnego oddziaływania dworu na wieś. Jeżeli owo oddziaływanie było, to musiało się ono odbywać za pośrednictwem żywego człowieka ze dworu. Ważniejszą więc rzeczą dla nas będzie — gdy zbadamy, jakie to wartości kulturalne reprezentował prze-

*) Melchjor Wańkowicz. Szczenięce lata. Warszawa. Tow. Wydawnicze „Rój".

piętny mieszkaniec pałacu dworskiego: jaką umysłowość, jaki świat myśli i pojęć — jakie bogactwo, czy ubóstwo wiedzy.

Posłuchajmy jak słowami bohaterów swojej powieści — dobrych znawców środowiska dworskiego—charakteryzuje Kruczkowski umysłowość przeciętnego szlachcica:

„Cóż za fetor odwieczny!... Taki jeden z drugim jaśnie wielmożny czerep, sam ciemny i zakuty na wszystkich szwach, za światłość się ma, za luminę szacowną, za klejnot koronny nad niewiele ciemniejszą zgrają upodlonego w niewoli chłopstwa". —

Na innem miejscu czytamy znowu takie świadectwo, wystawione p. Czartkowskiemu, samowładnemu dzierżawcy dóbr rządowych Brodnia i wielkiemu oprawcy chłopów — świadectwo wystawione przez współszlachcica, wybitnego i światłego działacza:

„Zwykły krajowy rykała folwarczny, brat-szlachcic, obskurant tępy i ograniczony w pojęciach, ale zarozumiały, jak sto djabłów... Osobliwy gatunek ludzki, wyhodowany na grzędzie rodzimego wstecznictwa, herbowego prostactwa i załganej tradycji „obywatelskiej"... A teraz chodźmy do Nowotrzeb. Przewijają się tamtędy ludzie rozmaici, tubylcy zasiedziali od wielu pokoleń i goście, uczeni i prostaczkowie. Jedzą dużo i dobrze, grają w karty, polują. Szukajmy jednak jakiegoś życia duchowego, jakichś zainteresowań umysłowych. Co się pod tym względem dzieje w salonie — nie wiemy. Czytamy zaś, że pewnego razu, w części domu, przeznaczonej dla służby, toczyła się dyskusja — spór o znaczeniu szlachectwa. „Negował je syn ogrodnika przy wyraźnej aprobacie większości. Zaperzona stara Jankowska, szlachcianka, użyła nieodpartego argumentu: „Wszak Matka Boska była szlachcianka". — Jakto? — A czyż nie mówi się w litanji: „Panno szlachetna?" — Na te słowa opozycja umilkła". Argument szlachcianki Jankowskiej, ani na źdźbło nie odbiegł od tych argumentów, których zwykł był, przy pełnej szklanicy wina, używać imć Zagłoba sienkiewiczowski, wywodząc rodową linję chłopów od biblijnego Chama a szlachty od Jafeta. Kto mnię przekona, że argumentów takich nie słyszał Sienkiewicz za lat swoich w dworach i dworkach szlacheckich, a jeżeli je potem włożył w złote usta pana Zagłoby, któremu w powieściach swych kazał żyć przed nami o paręset lat, to po to właśnie, aby niejednemu ze swych rodaków przedstawić jaknajplastyczniej, że czcigodną swą umysłowością doskonaleby harmonizował z tłem czasów Jeremjego Wiśniowieckiego i Chmiela. — Ale nie odbiegajmy zbyt od tematu i nie błądźmy wśród domysłów... Wracajmy do faktów, które mamy pod ręką — podane przez autora „Szczenięcych lat".

Oto ojcu jego udało się pewnego razu wypchnąć czterech swoich sąsiadów na wystawę do Paryża. Sam wślad za nimi pojechał za tydzień. Zastał ich tam, gdy rżnęli w winta, do którego zasiedli tuż po przyjeździe. Ani razu nie zajrzeli na wystawę. — O jednym z takich sąsiadów opowiada znowu Wańkowicz: Jeden ze szlagonów-sąsiadów, ogromny, ciężki, mrukliwy i powolny — gdy kiedyś na Prima Aprilis podano mu kopiasty półmisek kołdunów, nadzianych trocinami, zjadł ich pięć, nie zmrużywszy oka.—Z innemi postaciami, znanemi w Nowotrzebach i Kałużycach, zapoznamy się później...

Czy dwór miał — mimo swe rzeczywiste możliwości — aspiracje kulturalnego oddziaływania i jak daleko one sięgały? —

W Brodni nic o tych aspiracjach nie słyszymy. Dowiadujemy się tylko, iż pan Czartkowski był niepomiernie zgorszony, że w szkółce uczono dzieci chłopskie tabliczki mnożenia.

— „Ja tam uważasz — prawił p. Czartkowski do nauczyciela Deczyńskiego—szczerze zawsze powiadam: nie jestem zachwycony tem oświecaniem chłopskich dzieci, choćby tylko w czytaniu i pisaniu. Zrządzić to może w kraju niepomyślne skutki, zwrócić ludzi dotąd spokojnych ku niebezpiecznej chęci... do spekulacji znajdującej nasycenie w książkach... i rozszerzyć wyobrażenia niestosowne do naszych stosunków społeczeńskich".

Aspiracje dworów, będących przedmiotem wspomnień p. Wańkowicza, idą nieco dalej. Czytamy o tajnej szkółce, prowadzonej w jednym z nich, w której dzieci chłopskie uczyły się dziejów ojczystych. Dowiadujemy się też, że dziewczęta, służące we dworze, uczyły się sztuki haftu jak również i o opiece dworu nad niedomaganiami i chorobami cielesnemi okolicznych chłopów.

„W kredensie babka spełniała wielkie misterja medycyny. Dwór był kasą chorych i centralną apteką na całą okolicę. Medycyna dworska wyrobiła cały systemat, aby elementarne wskazania, antyseptyki i higjeny ożenić trwale z przesądami. Dr. Rozen, szwagier babki, kiedy rzucił płatną praktykę i osiadł w Nowotrzebach, wyrobił sobie cały sposób postępowania. Lekarstwa dawał apteczne, ale jedne z nich trzeba było brać o wschodzie słońca na rozstajnych drogach (szło oto, aby przed jedzeniem), inne przechowywać „pod nogą łóżka w ziemi od północnej strony" (lekarstwo wymagało trzymania w cieniu i chłodku).

Tak wyglądała medycyna dworska, nienaruszająca zabobonów, raczej podtrzymująca je przez swój osobliwy ożenek z nimi i dająca podstawę do ugruntowywania się wiary, że skuteczność lekarstwa zależna jest od ścisłego przestrzegania zabobonnych praktyk.

Prowadził też dwór nowotrzebski i inne rodzaje działalności społecznej. Ojciec autora, exwygnaniec polityczny za udział w styczniowem powstaniu, owiany prądami humanitarnemi, założył szpital, kształcił szereg ludzi ze swego majątku — szły z dworu książki na wieś — ciekawi bylibyśmy bardzo—jakie? — Oto bodajże jedyne ślady, widoczne w książce Wańkowicza—kulturalnego promieniowania dworu na okolicę.

A jak wogóle układały się stosunki pomiędzy dworem a wsią — pomiędzy panami a chłopami. Powieść Kruczkowskiego jest na ten temat wielkim aktem oskarżenia, wytoczonym przeciw dworowi. W „Szczenięcych latach" tego oskarżenia niema... Ale są tam pewne fakty i zdarzenia, ozłocone wprawdzie blaskiem poezji wspomnień młodzieńczych — ale jeśli się owo ozłocenie zdrapie i pozostanie sama szarość prawdy — zmuszają nas one do zapytania: w którym wieku? — nie! — w której epoce dziejów Europy żyjemy?

„W Kałużycach — czytamy całe nastawienie dworu było takie, jakby te Kałużyce, rzucone w ocean chłopski, same sobie miały wymierzać sprawiedliwość, same stanowiły normy?" — „Dwór nie uznawał sądów, nie zwracał się do nich w miarę możliwości Było zasadą wymierzać sobie samemu sprawiedliwość, samemu nagradzać, samemu karać. Bić rzadko, ale jak bić, to żeby bity się zwalił. Do dworu pod osąd ściągali ludzie ze wszystkich naszych wsi — t. zn. tych, które należały do Kału-

życ przed uwłaszczeniem, a teraz zostawały w symbiozie gospodarczej z dworem (las, pastwiska, odrobek). Dwór był nietylko materjalnym rozjemcą, ale godził małżeństwa, interwenjował, gdy macocha biła pasierbicę i t. p. Zdarzyło się, że do dworu przyszli prosić o rozwód".

Zjawisko wymierzania sobie sprawiedliwości przez dwór — wprawdzie niemal o sto lat wcześniej, niż w Kałużycach — spotykamy i w powieści Kruczkowskiego. Bicie nawet siwych starców do utraty przytomności nie należało tam do praktyk rzadko zdarzających się. A jaki był stosunek p. Czartkowskiego do norm prawnych, świadczy jego odpowiedź, dana przezeń chłopom, powołującym się na prawo i na tabelę powinności względem dworu: — „Szelmo chłopie! Bat jest dla ciebie prawo... A ja twoją tabulę od rządu każę ci na dupie przykleić i właśnie batem posiekać"...

Wobec kresowych, ihumeńskich chłopów — pisze Wańkowicz — pan „chodzić winien w nimbie patrjarchalnej łaskawości... ale niedopomyślenia była sytuacja, by nie mógł mieć racji, aby mógł znaleźć się w sytuacji śmiesznej, aby mógł zawdzięczać chłopu jakąśkolwiek przysługę, aby mógł o coś prosić, za coś dziękować"...

„Pan", który o dziesiątki wiorst od domu, przejeżdżając przez wieś, zgubił koło, złamał dyszel, naskutek czego potrzebował kogoś gdzieś posłać o kilka wiorst, wkraczał do pierwszej lepszej chaty i polecał zrobić to, a to... Byłoby obrazą nie do pomyślenia ale też i niespodzianką, aby chłop za przysługę zażądał czegokolwiek. Nawet spotykana w Królestwie formułka „co łaska" nie miała miejsca. Cały wygląd, wszystkie pokłony i uśmiechy Białorusa szły w kierunku zadokumentowania, że przepełniony jest radością, że dostatecznie nagrodzony jest samem szczęściem, płynącem z faktu usłużenia „panu".

Albowiem pan — to jest zupełnie coś z przyrodzenia odrębnego, coś co Pan Bóg powołał do panowania nad ludźmi zawsze i we wszelkich okolicznościach.

Co rok, na wiosnę, chłopi z okolicznych wsi przychodzili do dworu „godzić paszę". Za prawo wypasu każdy z nich odrabiał odpowiednią liczbę dni roboczych. Ale nadto każdy w zawiniątku przynosił jako symbol lenna — jajka. Niechby który nie przyniósł owych jajek, oznaki poddaństwa, zanic nie danoby mu paszy. Ale owa poddańczość chłopa nietylko w tak stosunkowo niewinny sposób wyrażała się. Oto w pewnym dworze, od Kałużyc daleko — opowiada Wańkowicz — w drugim powiecie, do rytuału należy podejmować gościa dziewczyną...

„W oficynie mieszka pan plenipotent i pan leśniczy. Przed wódeczką i przed obiadkiem zbiera się w oficynie kawalerskie towarzystwo — czekają już dziewczyny. Zaspakajają się funkcję prędko, publicznie — jedni przy drugich. Poczem wraca się do pałacu — do pań".

„Krewny nasz — pisze dalej Wańkowicz — Edward Horwatt z Narowli (nad Prypecią) opowiada, że kiedy, w kilka miesięcy po ślubie, pojechał dzielić łąki w najbardziej zapadłe kąty swoich folwarków, do których osoba pańska zjeżdżała tylko raz na rok na dzielenie pasz, wieczorem pokolei zjawiały się młode pary, które pobrały się w ciągu roku, mężowie wycofywali się z niskiemi pokłonami, a kobiety zostawały w niedwuznacznym celu".

W jakim celu — wiadomo. Według starego zwyczaju, panu przysługiwało prawo przespania z każdą młodą mężatką — poddanką, pierwszej

nocy poślubnej. Ale w tym akurat wypadku pan miał poważne skrupuły, sam był młodożeńcem — nie wypadało! Polecił więc lokajowi, aby go przed przybyłemi „wytłumaczył". Lokaj zaś obowiązek ten spełniał tak gorliwie, że na drugi dzień łaził „jak wymoczony śledź"...

— To też był symbol lenna, z którego pan mógł nie skorzystać, gdy mu „nie wypadało". Zrzec się go zasadniczo byłby nie rad, aby nie naruszać żadnego ogniwa w systemie obyczajów, trzymających chłopa w duchowej uległości i poddaństwie. Sami chłopi również nie zdradzali żadnych odruchów niechęci, czy buntu w stosunku do tych obyczajów. Wańkowicz nie przypomina sobie by w mieszkańcach dworu nowotrzebskiego, gdzieś choćby na dnie duszy, zatajony był niepokój socjalny — aby się uwidoczniało odczucie niesprawiedliwości, czy krzywdy społecznej. Chłopi zależność swoją od panów i cały układ stosunkow między sobą a dworem traktowali jako naturalny układ świata. „Przecież i nam — pisze autor „Szczenięcych lat" dolega upał, wilgoć, mróz, a jednak wielbimy lato, jesień, zimę, bo... inaczej być nie może, bo to części naszego życia". — „W układzie życia chłopów pan był historyczną koniecznością, był słońcem, dookoła którego obracał się system planetarny kilku wsi, był źródłem zarobku i ostoją form życia takiego, do jakiego przywykli". — Tak jakże biez panow — mówił białorusin, gdy go doszły pierwsze wieści o rewolucji bolszewickiej.

„Któż powie — pisze Wańkowicz — jakie tam metody tresury stosowali przed wiekami osiadający na kresach rycerze! Dość, że teraz, w XX wieku, ustrój patrjarchalny był we krwi obu stron, zakorzeniony głęboko, potrzebny jak woda, jak powietrze".

O tych metodach tresury, stosowanej względem chłopów przez kresowych rycerzy i ich potomków, coś niecoś wiemy. Doskonałą ilustracją tych metod jest wszak historja kowala Derkacza z powieści p. t. „Kordjan i cham": oto na Wołyniu w wiosce Niewirkowie, sąsiadującej z Lubczą rodzinną wsią Derkacza, zamordowany został wraz z żoną i pięciorgiem dzieci — przez własnych lokajów — dziedzic. Pewnego niedzielnego wieczora gadano o tem szeroko w lubczowskiej karczmie. Wypominano przy tej sposobności różne grzechy okolicznych panów — między nimi i lubczowskiego. Padały nawet groźby, ciskane po pijanemu. Derkacz należał do tych — co najmocniej gardłowali. Nazajutrz, zanim zdołał wytrzeźwieć, zabrano go wraz z trzema innymi parobkami — pod strażą do Łucka, gdzie sprawę rozpoznano szybko i wszystkich czterech skazano na karę śmierci przez powieszenie. Egzekucja miała być wykonana w Lubczy, przed karczmą, będącą miejscem przestępstwa. Derkaczowi posłużyło szczęście — udało mu się po drodze uratować się ucieczką — jego jednak towarzysze, za „niepokój socjalny", jakiemu ulegli w ów wieczór niedzielny, odpokutowali na szubienicy, otrzymawszy przedtem w każdej wsi, przez którą byli prowadzeni, po sto plag leszczynowemi kijami.

Taka to była tresura. Stosowana przez wieki, doprowadzała ona w ostateczności do całkowitego zniewolenia i upodlenia człowieka. Uzupełnieniem jej była tresura inna, więcej uduchowiona, działająca od środka, jak kojący olej. Stosował ją kler, posiłkując się słowem bożem, odpowiednio tłumaczonem i naginanem, mając ku pomocy niebo ze wszystkimi aniołami i świętymi oraz piekło ze wszystkimi djabłami. Kler sprawował rolę policji duchowej nad zakutym w jugach pańszczyźnianych chłopem.

Posłuchajmy, w jak mistrzowski sposób potrafił usypiać „niepokoje socjalne" ksiądz Bończa z Brodni w powieści „Kordjan i cham":

„O, mamże tu znów przypominać wszelkie grzechy wasze: lenistwo, a chciwość grosza, swarliwość codzienną, żądze samolubne, pijaństwo i życie rozwiązłe — a nadewszystko krnąbrność i nieposłuszeństwo, okazywane względem zwierzchności waszej, niedbalstwo w obowiązkach, panom waszym powinnych, zgoła oporność w pełnieniu powinności, stanowi waszemu przyrodzonych, przez Boga samego ustanowionych odwiecznie?!...Ach, mamże tu przypominać, że i tacy są między wami, co burzliwością umysłów przejęci, sieją szatański posiew niepokoju i zamętu, jątrzą i judzą i podżegnywują innych przeciwko owym powinnościom i obowiązkom?!"

A dalej zaś:

„...Chcecie wiedzieć, dlaczego jedni w ubóstwie pożywają chleb, potem i łzami zroszony, a inni obfitują w wygody i dostatki?... Dlaczego jedni długie lata jęczą na łożach boleści, a drudzy silni i zdrowi — jedni w ustawicznej pracy i utrudzeniu, a drudzy znów w swobodzie?... Czy dlatego, że Opatrzność boska więcej ma starania o jednych, niźli o drugich, że więcej miłuje tych, niżeli tamtych?... Nie, moi drodzy, ale właśnie dlatego, że o wszystkich zarówno myśli i dla wszystkich miłosiernie pragnie, iżby osiągnęli to, co im w swej miłości ojcowskiej zgotowała!... A wiedząc, że jednym potrzebniejsze ku osiągnięciu tego ubóstwo, smutki, choroby i cierpienia, drugim zasię bogactwo, swoboda i zdrowie — każdemu daje według potrzeby to, co do onego celu wiecznego snadniej go przywieźć i doprowadzić może".

Prostszemi sposobami i mniej „uduchowionemi" trafiali do przekonań i sumień chłopskich księża w Nowotrzebach. Ksiądz Bitowtt, z wysokości kazalnicy przebiera swoich parafjan bez pardonu — tak, że ci potem przed kazaniem uciekali z kościoła. Ksiądz Bitowtt, spostrzegłszy to kiedyś, krzyczał do zakrystjana: „Kazimierzu, zamykaj drzwi, żeby to bydło nie powychodziło". — Dojrzawszy zaś parobka, klęczącego na jednem kolanie, gromił go zmiejsca: „A ty, rudy psie, zające przyszedłeś strzelać, czy co?"

Owoce duchowe i takich nawet metod umoralniania były dosyć efektowne i dla dworu zadowalające.

„Kiedyś — był to już wieczór — opowiada Wańkowicz — do sieni wwalił się z dwora „gospodarz" (karbowy) i buchnął na kolana.

— Co tobie się stało, Kazimierzu, czy oszalałeś — pyta starsza pani, wchodząca do sieni.

Nie, nie oszalał. Był u spowiedzi. Ksiądz kazał dać zadośćuczynienie. Przed zielonemi świętami przywłaszczył sobie siekierę i powróz. Siekierę zwraca, powróz odkupi"...

Innym razem zjawiła się dziewka folwarczna, która dochowała się pięciorga dzieci na folwarku. Pensji miała trzy ruble miesięcznie. Okazało się, że „starsza pani", wypłacając jej, przeliczyła się i przepłaciła jej coś niecoś — więc odnosi...

*

* *

Wzajemne stosunki między dworem i wsią — w artykule niniejszym — rozpatruję przy świetle, rzuconem na to zagadnienie przez dwie książki ostatniej doby — książki mające wartość dokumentów. Oby takich dokumentów więcej. Oby coraz obrazowiej i coraz dokładniej można było przedstawić sobie, jaką to rolę historyczną odgrywał w stosunku do chłopów dwór przez ciąg szeregu stuleci. Jak niewolił, jak upadlał, jak panował... Dwory już powoli umierają... Topnieją wyspy średniowiecznych feodalnych stosunków między ludźmi. Wchłania je nieustępliwy ocean chłopski, poruszony z martwoty. Wchłonie je i zaleje nie dziś — to jutro. W Brodni ziemię, dawniej w rękach pańskich będącą, dziś uprawiają chłopi. Dwór Czartkowskich rozparcelował rząd chłopa — Witosa. W Kałużycach (pod panowaniem bolszewickiem) istnieje dziś kołchoz... Ale z tonących wysp szlachetczyzny uciekają rozbitki do miast, do urzędów, do szkół, na najrozmaitsze stanowiska przy maszynie państwowej. Tam snują dalej sny o odnowieniu swej potęgi, o opanowaniu. Okopują się i umacniają. Fala ludowa i tam dojść musi i te ostatnie szańce szlachetczyzny zdobyć.

MAURYCY MOCHNACKI

W roku 1935 przypada stuletnia rocznica śmierci *Maurycego Mochnackiego*. Jeżeli w szeregach młodzieży wiejskiej Mochnacki znany jest — to tylko jako płomienny trybun pierwszych dni powstania listopadowego 1830 r., domagający się w słowie żywem i pisanem wysunięcia w powołaniu haseł rewolucji społecznej i pójścia z nimi w lud. Wstąpiwszy do wojska powstańczego, Mochnacki walczył jako żołnierz. Wraz z bohaterskimi niedobitkami powstania znalazł się potem na emigracji we Francji i tam zmarł.

— Mochnacki był nietylko trybunem rewolucji i żołnierzem, był on również znakomitym pisarzem-publicystą. Pisma jego po dzisiejsze czasy zachowały dużo świeżości, siły i aktualności. Przytoczeniem poniższych wyjątków z tych pism chcemy uczcić pamięć Maurycego Mochnackiego — w setny rok od jego śmierci. (Red).

Znać siebie i mieć uznanie samego siebie w jestestwie swojem, mieć wewnątrz ujęcie i grunt pod sobą — owóż niezaprzeczone, niezatracone prawo w rodzie ludzkim i najdostojniejszy przymiot człowieka! — Lecz tej własności rozwinionej i udoskonalonej na świat z sobą nie przynosimy. Człowiek rodzi się, nie wiedząc tego. Przez długi czas żyje w niemowlęctwie — zamknięty, ograniczony jako **monada***), z której nic a nic na zewnątrz wynijść, ani wewnątrz do niej przeniknąć nie może. Wszystkie władze, zdolności, rozumienia, **ideje** drzemią uśpione w zarodku. Ciche, bierne życie najpodobniejsze **wegetacji!** I w rzeczy samej zdaje się, że natura w każdym człowieku wznawia i niejako powtarza proces pow-

*) Monada — z greckiego — w filozofji słowo to oznacza prostą jednostkę duchową. W filozofji starożytnej nazywano tak siły, które wyszły z duszy świata. (Red.).

szechny formacji wszystkich dzieł swoich, przebiegając przez stopnie i schody pośrednie tę samą drogę od początku ku końcowi. Tryb postępowania jednaki: toż w przyrodzeniu, toż w człowieku, toż w historji. Od bezwładności do pojęcia! Od punktu, na którym jesteśmy, nie wiedząc tego, do punktu, gdzie mamy **uznanie** nas samych we własnem, **oddzielonem** jestestwie. Patrzmy się na dzieci nic nie wiedzące o sobie kiedy jeszcze żadna podnieta zatajonej iskry w nich nie rozniecíła, i żadna **refleksja** nie wniosła rozerwania, niepokoju do ich niewinnego, błogiego jestestwa. Czyż wtenczas nie są nakształt roślin, albo drzew, których obraz w wodzie się maluje? Enigmatyczne*), dziwne stworzenia! Przedmioty naokoło siebie w zamięszaniu, w wątpliwem postrzegają świetle. Rozliczne, coraz nowe wrażenia plączą się, wikłają w ich duszy. Bojaźń, nadzieja prędko, silnie zajmują dziecię; dlatego chwieje się wśród nieznanych coraz kształtów, postaci, obrazów. Ułuda omamienie, pusta wesołość, strach i smutek, niecone lada fraszką, mijają, i znowu wracają w tej porze ufności, szczęścia. Takie pojęcie, takie uczucie. Dzieci ani dzielić, ani odosabniać nie umieją; nie rozrywają tego, co na jedności zależy. Wielkie też masy w najprostszych widzą zarysach i choć samych siebie nie pojmują, po wielekroć przecie w rzeczach bardzo trudnych, zakrytych i napozór niedostępnych ich pojęciu z podziwieniem naszem dalej przenikają jak ludzie starsze lata mający, żartkiego dowcipu, bystrego rozumu. Ściślejszym związkiem niżeli my połączone z sobą naturą, zostają pod ową porę w zgodzie wszystko ogarniającej wszechrzeczy; ku czemu nikt potem nie przyjdzie ani usilną chęcią, ani biegłością w nauce, ani wiadomością rzeczy przeszłych — ani tęsknicą! — Gdy zaczynają własnej mocy doświadczać, natenczas przechodzą drugą kolej bytu; a tej odpowiednią moglibyśmy znaleźć w dziale zwierząt. Tu jeszcze rządzą się naśladowstwem, za przykładem starszych czyniąc co starsi czynią. Niedługo potem dają słabe oznaki wyższego pojęcia; następnie coraz jaśniejsze dobitniejsze. Wreszcie duch zaczyna się wyrażać na ciele. Z dziecinnych lat wyrasta młodzieniec swawolny, bujny. Potem nieukrócony, burzliwy— namiętny i tkliwy, i pełen uniesień. Z całości się wyrywa, z powszechnej wydziera się zgody we wszechrzeczy jestestwie. A potem zabrzmi, zagrzmi mąż jako dźwięk, jako ton szczególny, rozstrojony, fałszywy w ogólnej tonice. Jest natenczas **osobą...**

Cóż sprawuje te zmiany? Oto obwarowana, dotąd nierozdziergniona, nierozszczepiona monada rozwierać się powoli zaczyna. Niepokój w duszy się szerzy, wzrasta w sercu. Młodzieniec, mężniejąc, wiedzie przeciwieństwo z całym światem, naturą, społecznością, z któremi dotąd w zgodzie i jedności zostawał — i myśl się jego na zewnątrz wydziera z boleścią, jako się dziecięcia zęby boleśnie z dziąseł wyrzynają. Przyszedłszy ku swej zupełnej sile, wyosobniony ze wszechrzeczy jestestwa, wszystko znajduje przeciwko sobie; bo jest **osobą,** bo jest **sobą samym.** Już nie jest w naturze, ale zewnątrz natury, z pewnego względu za jej okresem. Natura zaczyna być dla nas **przedmiotem,** czyli rzeczą oddzielną. Człowiek **wiedzący siebie,** myśl swoją i wolę swoją, postrzega gdzie jest, po co? na co? i co go otacza? Pierwszy wszystkich nauk i doświad-

*) **Enigmatyczny — tajemniczy, zagadkowy (Red.)**

czeń początek! Teraz dopiero bada, rozumie, dzieli, łączy, mierzy, waży, obserwuje i nad wszystko się wynosi, i wszystko pod swoje podbija posłuszeństwo... Jedna linija przez wszystkie lata życia naszego się rozciąga, z początku w ciemnych niknąca punktach, jak we mgle i w mroku — dalej coraz jaśniejsza, wyraźniejsza, naostatek samą jest jasnością, promieniem światłem — wewnątrz obróconą źrenicą — widzeniem siebie okiem ducha — „uznaniem samego siebie w oddzielnem jestestwie". Otóż zagadka naszego bytu!... Pierwszy człowiek, jak wszystko żywiące, z łona natury jeszcze **niewyłoniony,** spał snem twardym, we śnie niewypowiedzianego szczęścia. Powoli zaczął się budzić z tego **snu na jawie** i wychodzić duszą, myślą z wszechrzeczy ogółu. Nakoniec został szczegółem — istotą rozumną — jednostką dumającą! Ta jest wielka jestestwa naszego tajemnica. Cóż go dotąd zaszczyca po tylu wiekach obłędnej kolei? Co w nim najpiękniejszego? Oto tęsknica na duszy i boleść na sercu, która je uciska po stracie nieskazitelnego mienia! Oto chęć wyjścia tą samą promienną myślą z ciasnego koła, z okresu **jednostki,** egoizmu, samolubstwa — chęć rozszerzenia się, rozprzestrzenienia miłością płomienistą, wszystko obejmującą od końca do końca we wszechrzeczy jestestwie, w nierozdzielonym całej natury porządku — w tej harmonii, tej cudotwornej tonice całego świata!...

*

* *

Że jedne narody giną, i śladu po sobie nie zostawiając, a drugich pamięć przechowuje się w dziejach, odkądże to pochodzi? Co sprawuje tę tak ważną różnicę? Oto, że ostatnie za dni swoich przyszły ku uznaniu siebie w masie swych myśli i wyobrażeń, a jestestwo pierwszych zasadzało się jedynie na zmiennych, przemijających warunkach bytu, to jest: na pewnej liczbie indywiduów, które, mieszkając w przestrzeni określonej pewnemi granicami, nigdy samych siebie w jestestwie swojem nie uznały, uznania tego świadectw ani późniejszym dostatkiem, ani w dziełach sztuki potomności nie przekazały; — a tem samem żadnej reprezentacji czy to w moralnym, czy umysłowym, czy estetycznym świecie mieć nie mogły. Takie zbiory indywidualności są nakształt cząstek materyi, zostających między sobą w słabym związku mechanicznym, który środki mechaniczne łatwo rozrywają i niszczą.

Niechaj naród raz tylko, i choć na czas najkrótszy, ma to **uznanie samego siebie w swojem jestestwie,** a już pamięć jego nie zaginie; wyrazi się bowiem, wyjawi, zasłynie; będzie miał poetów, sztukmistrzów, dziejopisarzy, mówców. Uczucie to bowiem kiedy się naród w swojem jestestwie nierozdzielonem czuje jak po tętnie, jest tak piękne, tak szlachetne, że się koniecznie wszystek w niem wyjawić musi, wyrwać na jaw, wynurzyć swoje „ja" na oko pokazać.

— — — — — — — — — — — — —

W dziejach polskiego narodu niejedna wielkiemi nadziejami rozbłysnęła chwila... Wejrzyjmy, naprzykład, w wiek Bolesława Wielkiego. Szerzyła się w dziedzinie bolesławowskiej, górowała potężna myśl, wielka, genjalna ideja, którą ten mąż nadzwyczajny, że tak powiem, namiestniczą

sprawował władzę ludów słowiańskich: myśl ich jedności, mocy, chwały! Bolesław tę ideję rozpleniał szablą swoją, nie dopuszczając, żeby przeciwna w krajach słowiańskich ideja germanizmu, niemniej wówczas potężna, świetna, wojująca, przed nią przodek otrzymać miała. Był on nietylko królem polskim, ale zarazem opiekę swoją na wszystkich rozciągał Słowian. Tą cechą oznaczone jego wojny z Niemcami. Ta myśl opatrzna kierowała ledwo nie każdem jego poruszeniem. Dlatego takie oko miał na Czechy. Z tej przyczyny dzierżaw swoich tak upornie bronił...

Jego kraj szeroki — jego lud prosty, niebywały, źle otarty z bałwochwalstwa, po przestrzeni rozsypany wiejskiemi osadami, wśród nieprzetrzebionych puszcz, wśród głuchych lasów. Slachta drapieżna, ni z praw ni z obyczajów w swej woli ukrócenia nie mająca. Zewsząd groźny nieprzyjaciel! Tu hordy dzikich słowian, którzy się jeszcze ciosanym bożkom kłaniają — ówdzie przemoc sąsiednich Niemców. Jaka burza nad głową młodego króla! Jaki plac do szlachetnego zawodu! Temu jednak podołał ogromowi, bo nim władał duch plemion słowiańskich, równie nadzwyczajny i silny, jak były nadzwyczajne, a prawie nadludzkiej siły wymagające, ówczesne okoliczności...

Z rozprawy „O literaturze polskiej w wieku dziewiętnastym".

Mistrzował w Polsce po wszystkie czasy, panował, broił terroryzm nazwiska, terroryzm łatwowierności, terroryzm zaufania nieodpowiadającego zasłudze. Byliśmy i jesteśmy dotąd dziwowidzami, chwalcami, panegirystami bądź mniemanego talentu, bądź urojonej jakiejś przewagi. Nic łatwiejszego jak zostać sławnym i popularnym w Polsce. Mamy wielkich literatów, którzy nigdy nic nie pisali, wielkich obywateli, którzy nigdy nic dla kraju nie zrobili, wielkich dyplomatyków, którzy ledwo czytać umieją. Sławy, reputacji, popularności dostać u nas można jak lichego na jarmarkach towaru.

Ta mniemana sława, ta czcza reputacja, ta urojona wmówiona popularność szerzy się następnie jak dźwięk hucznego dzwonu w powietrzokręgu, uzbraja się całą potęgą terroryzmu łatwowierności, szczerej lub udanej, i ludziom myślącym nakazuje milczenie terroryzmem politycznego nierozumu. Biada temu u nas, kto myśli swoją głową i swojem rozumieniem rzeczy około siebie pojmuje. To wichrzyciel! To burzyciel!...

Gdy cesarzewicz Konstanty umknął z wojskiem, przestał naród wierzyć tymczasowemu rządowi! Gdy eks-dyktator zdradził, przestaliśmy wierzyć w dyktaturę... Sejm próżnuje! Będziemyż wierzyli sejmowi? Nowy terroryzm zaufania! Gdyby nie stu dwudziestu posłów, którzy za rządów cesarzewicza żadnego ministra oskarżyć nie śmieli, ale stu dwudziestu aniołów z archanielską mądrością zasiadło i obradowało w tej izbie, nie wierzyłbym teraz stu dwudziestu aniołom! Nieufność i podejrzliwość są najpierwszą cnotą rewolucyjnych czasów. Ufność niechaj będzie nagrodą zasługi, ale nie zachętą do działania.

Nie ufajmy nikomu; nie wierzmy nikomu, a wszystkich wzywajmy, pobudzajmy. Toć jest bodźcem i najlepszą zachętą. Tylko papież, jak mniemano w wiekach średnich, był nieomylny: zgromadzenia zaś polityczne, sejmy, koncylja jak indywidua mylić się mogą.

Obskurantyzm*) polityczny nie toleruje u nas żadnej opozycji. Opozycja mówna lub piśmienna przeciwko władzy zowie się tu buntem, zdradą. Tak i cesarzewicz z Nowosilcowem rozumowali.

Polska nie zginie brakiem obywatelstwa i cnoty, nie zginie brakiem męstwa i środków materjalnych, ale zginie terroryzmem nierozumu.

„O terroryzmie nierozumu i obskurantyzmu politycznego".

WOJCIECH JANCZAK

„UTAJONE BEZROBOCIE" NA WSI

Dużo się dziś mówi w całym świecie na temat bezrobocia. Zdobyło sobie ono pełne prawa obywatelstwa tak w życiu jak i w świecie gospodarczo-naukowym, stało się wykładnikiem konjunktury gospodarczej każdego państwa, wysuwając się na czoło zagadnień ekonomicznych. Dziś ludzie, badając, czy opisując sytuację ekonomiczną jakiegoś kraju, sądzą ją przeważnie według kryterjum bezrobocia, a nie jak dawniej według bilansu handlowego, możliwości kredytowych, rynkowych i t. p. Od szeregu lat pracują najrozmaitszego gatunku komisje, zwalczające, ograniczające (może nawet popierające) bezrobocie. Dochodzimy teraz do sedna rzeczy. Otóż komisje te, jak zresztą wszystkie czynniki oficjalne, objęły swoją działalnością jedynie i wyłącznie bezrobocie w miastach, bezrobocie można powiedzieć „zorganizowane". A tymczasem jest drugi jeszcze teren, dużo większy od wszystkich miast, gdzie także szerzy się bezrobocie. **Terenem tym jest wieś**.

Bezrobocie na wsi jest większe, aniżeliby się wogóle wydawało. Pomijając już pewien procent zawodowych robotników rolnych, których los jest nie do pozazdroszczenia, weźmy pod uwagę wszystkie drobne i średnie gospodarstwa chłopskie. Są one w zupełnej prawie ruinie gospodarczej, a ludzie siedzący na nich to bezrobotni.

Weźmy taki przykład: na gospodarstwie 5-cio morgowem siedzi i pracuje rodzina, składająca się z 6-ciu osób (taki jest mniejwięcej ogólny stosunek gospodarstw chłopskich do liczebności rodzin chłopskich). Biorąc pod uwagę wyniki ich całorocznej pracy, a raczej części przypadającej do ich osobistego użytku, i naukowy punkt widzenia na minimum płacy musimy stwierdzić, że tylko bardzo mała część ich pracy zostaje wynagrodzona, resztę pracują za darmo — i tutaj różnią się od „oficjalnych" bezrobotnych, którzy za darmo pracować nie chcą, — albo też wogóle nie pracują, zwłaszcza w zimie. Rodzina chłopska jest więc bezrobotna. Jest to tylko t. zw. „utajone bezrobocie", bo chłop, jako z natury pracowity, nie pójdzie zajmować ławek w parkach i wycierać murów, ale będzie zawsze coś grzebał, robił, strugi potu wylewał nad swym malutkim kawałkiem ziemi, tylko, że za tę pracę nikt mu nie zapłaci.

Ktoś może powiedzieć, że chłop jest przecież kapitalistą, ma własny warsztat pracy, ma „majątek". Otóż temu odpowiem słowami p. senatora Nocznickiego: „chłop ma tytuł własności bez prawa własności". Co to

*) Obskurantyzm — ciemne zacofaństwo (Red.)

znaczy, wyjaśnił już dokładnie p. senator, ja tylko dodam, że posiadam olbrzymie dobra, kopalnie, lasy na ...księżycu, a sam pewno niedługo z głodu umrę. Oto co jest inaczej „tytuł" własności bez prawa własności".

Z zagadnieniem bezrobocia na wsi łączy się (jak z każdem innem zagadnieniem ekonomicznem) **zagadnienie przyrostu ludności.** Kwestja ta dla przyszłości wsi polskiej ma olbrzymie znaczenie. Przyrost ludności na wsi jest tak duży, że wieś przez gwałtowną pauperyzację, zwiększoną jeszcze niemożnością odpływu pewnych odsetek do miast, czy na emigrację, zbliża się szybkiemi krokami do bezwzględnej, kompletnej ruiny gospodarczej. Ruina ta jest nieunikniona, o ile nie zostaną zastosowane radykalne i skuteczne środki zaradcze, tak w kwestji przyrostu ludności, jak w zatrudnieniu olbrzymich rezerw ludności wiejskiej, przez stworzenie dla nich nowych warsztatów pracy, opartych na gospodarczej samowystarczalności.

Wystarczy przejść się dzisiaj po wsi, zwłaszcza w długie, zimowe wieczory, kiedy wszyscy zmuszeni są siedzieć w chałupach. Maleńka ciupka, ciemno, bo szyby zamarzły, duszno od torfowego dymu, czy innego osobliwego paliwa, przy stole siedzi 3 młodzieńców w granicach wieku od 20—30 lat. Dwóch gra w karty z jakimś tępym, ciężkim wyrazem twarzy, trzeci czyta gazetę, sądząc po jej wyglądzie zewnętrznym nie jednego ona pewno ma czytelnika (każdy przecież gazety sobie kupić nie może, bo za co?). W kąciku siedzi dorosła panna i coś tam robi, druga gotuje ziemniaki i jałowy barszcz dla całej rodziny. „Starzy" drzemią przy piecu. Mają 5 mórg ziemi, 1 konia, 1 nędzną krowinę, mieli jeszcze prosiaka, ale tego musieli sprzedać na podatki. Oto jest typowa dzisiejsza rodzina chłopska. Jedna osoba z tej rodziny wystarczy, aby obrządzić „inwentarz", ugotować prymitywną strawę i zrobić wszystkie inne domowe porządki. A reszta? Reszta wegetuje z dnia na dzień, czekając lata, może gdy słonko zaświeci, coś się zmieni, (próżna nadzieja) leniwieje fizycznie, a przez to niszczy się, deprawuje i zatraca duchowo, bo ludziom pracy jedynie praca zdolna jest zapewnić zadowolenie i pogodę ducha, z zastrzeżeniem, że praca ta będzie produktywna i skuteczna tak dla pracującego, jak i społeczeństwa. O znalezieniu pracy poza domem, czy wsią mowy być nie może. Żenić się i dzielić te miniaturowe gospodarstwa, to znaczy z jednej nędzy, popaść w gorszą jeszcze nędzę. Zresztą we wsiach skomasowanych gospodarstw wogóle dzielić nie wolno, a gotówki niema.

Bezrobocie więc na wsi w niczem nie ustępuje bezrobociu „oficjalnemu" — jak je nazywam, — rozmiary zaś jego liczbowe napewno są większe.

Wobec tak palącego zagadnienia, jakie tu zgrubsza starałem się przedstawić, nie może pozostać obojętne ani Państwo, ani społeczeństwo, a tem więcej my, młodzi ludowcy, zwłaszcza, że na wsi tylko znajduje się żywotna siła narodu. Nie pomogą tu żadne półśrodki, stosowane dotychczas, żadne plasterki na uśmierzanie bólu, ale potrzebna jest gruntowna operacja ustrojowo-gospodarcza, w sensie — powtarzam jeszcze raz — stworzenia nowych warsztatów pracy w oparciu o ziemię dla ludności chłopskiej, przez skrupulatną parcelację wszystkich majątków ziemskich.

Warunki pren[illegible]*ty:* Rocznie — 6 zł., półrocz. — 3 zł., kwart. — 1 zł. 50 gr.

Redaktor: **Józef** [illegible]**ński.** Wydawca: **Adam Zieliński.**

Drukarnia Oświatowa, Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością. Warszawa, Żelazna 93, tel. 11-86-88.